



2

KONSTANCYA GERARDI

POWIEŚĆ

LUDWIKA GUALDO

przełożył z włoskiego

Edward Sulicki.

TOM II.

WARSZAWA.

WYDAWNICTWO MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1877.

KONSTANCYA GERARDI

POWIĄZ

LUDWIKA GUALDO

Wydawnictwo S. Orgelbranda

Warszawa, 1877

Дозволено Цензурою
Варшава, 21 Февраля 1877 года

TOM I

WARSZAWA

WYDAWNICTWO MICHAEŁA GLUCKSZBERGA

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda-Synów, ulica Bednarska Nr. 20

1877

ROZDZIAŁ I.

Spodziewam się, że czytelnikowi nie wyda się nieprawdopodobnem nagłe zajęcie jakie Ryta Alviano wzbudziła w hrabi Vanelli. Leżało to w jego charakterze. On zawsze był takim i zawsze takimby pozostał. Zajmując się bardzo Rytą nie myślał już o wyjeździe za granicę.

Kilka dni zaledwie upłynęło od rozmowy jego z siostrzeńcem, gdy postanowił wrócić do P. bo już w tym przeciągu czasu zebrał był wszystkie potrzebne informacje. Na kilka jednak minut przed odjazdem, przyniesiono mu bilecik pisany nieznanym charakterem delikatnym i niepewnym, w którym jednak zaraz odgadł rączkę hrabiny. Wistocie ona to zawiadomiła go, że przyjechała do miasta i prosiła żeby jak najprędzej do niej przyszedł.

— Co u licha zaświtało jej w głowie? mruknął do siebie wuj Ryszarda i spieszenie pobiegł na miejsce wskazane w bileciku,

— Hrabino kochana, co ma znaczyć ta zmiana w projektach pani? Po co było wyjeżdżać z miasteczka?

— Nudziłam się tam i przybywam tutaj.

— Nieroztropność, wielka nieroztropność! Miałbym prawo wykrzyzczyć panię. Jakto? Kiedy przyjaciele zajmują się pani losem i usiłują powrócić ją na dawne stanowisko, pani w jednej chwili wszystko narażasz na zgubę!

— Nic nie narażam, bo tu jestem bezpieczną. Ten apartament najęła lady Dugby, z którą znałyśmy się trochę. Zapomniałam o niej zupełnie, ale ona pamiętała o mnie w nieszczęściu. Przyjaciółki moje płaciły mi złem za dobre, a ta cudzoziemka którą od kilku ledwie miesięcy znałam, dowiedziawszy się że nie żyję z mężem, zaraz napisała do mnie list bardzo grzeczny i pełen dobroci, który mię doprawdy rozczulił; i przytem dodała, że wyjeżdżając na czas pewien ofiaruje mi swój apartament, jeślibym go kiedy potrzebowała. List ten otrzymałam nazajutrz po pańskiej wizycie; starałam się opierać pokusie, ale daremnie, i otóż mię pan tu widzisz.

— Ale będzie pani zmuszona wcale nie wychodzić z domu?

— I cóż mi to szkodzi?

— A pomimo to ludzie się dowiedzą, że pani tu jesteś.

— Jakim sposobem? Nie, bądź pan spokojny. Tak mi pilno było tu przybyć...

— Żeby się z kim zobaczyć?

— Tak, żeby się zobaczyć z panem.

Stary hrabia uśmiechnął się, ale ten uśmiech był dość kwaśny.

— Ze mną tylko? A może pani bierzesz wuja za siostrzeńca?

Hrabina spuściła oczy.

— Tak, chciałam i z nim się zobaczyć.

— Z *nim*? Ach, ileż ma zawsze znaczenia ten zaimek!

Hrabina mówiła dalej:

— Tak, potrzebuję raz jeszcze go widzieć. Tam w miasteczku jużbym go nie zobaczyła. Owego dnia przybył tylko z litości, z poczucia rycerskiego obowiązku względem kobiet; ale zresztą nie troszczył się o mnie. Lecz także i nie czuł nienawiści, jak się zrazu lękałam. Wdzięczną mu jestem za jego dobroć, ale teraz zaczynam wierzyć, że lepiej może byłoby wcale go nie widzieć. Zobaczywszy go, zapragnęłam ujrzeć go znowu, choćby raz ostatni, choćby tylko na parę minut. Potem odjadę, i on już nigdy o mnie nie usłyszy.

— Więc pani go kocha?

— I na co zdałoby się zaprzeczać? Podobno tak. Kiedy mię opuścił, miałam mnóstwo wielbicieli, a jednak uczułam, że w nim tracę najlepszego przyjaciela. Jak żałowałam za moją lekkomyślność! Pisałam do niego, ale nic nie odpowiedział. Próbowałam zapomnieć o nim, daremnie; zdołałam jednak się zagłuszyć. Nie wiedziałam jeszcze co to miłość. Życie ukazywało mi się tylko ze strony błahej, błyskotliwej. Cierpienie uważałam za rzecz śmieszoną. Zadowolenie próżności i pychy, tryumfy w salonach i mnóstwo wielbicieli u nóg moich — taki był dla mnie cel najwyższy istnienia: serce spało. Śmiać się ze wszystkiego — było dla mnie prawdziwą mądrością życia. Wielki świat w którym żyłam zasługiwał w mych oczach na wzgardliwe lekceważenie; wyniosła pogarda wydawała mi się przymiotem największym. Nie bałam się już nikogo; wesoło szłam po drodze kwiatami usłanej; zapominałam o wszystkim i nie wątpiłam że życie moje zawsze takiem będzie...

— Teraz — dodała hrabina po chwili milczenia — teraz nagle otworzyły mi się oczy. W jednej godzinie przeżyłam całe lata; nagle zrozumiałam, że wszystko jest nieużyteczne, prócz jednej rzeczy którą dotychczas za próżną uważałam. Jak wszystko się zaćmiewa w obec jedyne go uczucia! Gdyby kto mię kochał, gdybym mogła kochać, jak prędko obeschłyby łzy moje! I radowałabym się ze straconego w świecie stanowiska, cieszyłoby mię to żem skazana na banicyę, bylem mogła żyć w ukryciu, skromnie, cicho, mieć życie rozjaśnione miłością!... Nie zasługuję jednak na to szczęście. Wyparłam się miłości, bluźniłam jej, śmiałam się z drugich i z siebie samej; dziś oddałabym wszystkie skarby świata za to com wówczas odepchnęła; i rzecz sprawiedliwa, że mi to jest odmówione. A jednak jest coś głęboko smutnego w tej myśli. Jakże czuję się występna! Bywają chwile, w których śmiem myśleć, że kara jest większą od występku. Gdy mię pan widzisz płaczącą; gdy dostrzegasz głęboki smutek w moich oczach nieruchomych z boleści i na mojej twarzy wybladłej, wyobrażasz sobie może iż cierpię dla tego, że salony które były dla mnie otwarte na rozcież, teraz zapewne by się przedemną zamknęły, lub że nazwisko moje wszędy wymawiane jest z uśmiechem szyderyczym? — Powtarzam, uszczęśliwiłoby mię utracenie wszystkiego, byle mi miłość pozostała. Tak, jeśli płaczę, jeśli jestem znękana i złamana. to jedynie dlatego, że nie mogę ani kochać ani być kochaną, to dlatego że czuję się samotną na świecie, a co gorsza, dla tego że zasługuję na samotność w której żyć muszę!...

— Słowem, wtrącił stary hrabia, nie troszczyłabyś się pani o to żeś zgubiona, byleś raz jeszcze zgubić się mogła.

— Jak pan uważa. Może... Zapewniam go jednak, że jeśli jest na świecie straszne słowo, to tylko to jedno: za późno! Być tak blisko szczęścia i nie widzieć go, wyprzeć się go i odepchnąć, być nedorzecznie zaślepioną, a potem zbudzić się nagle, gdy już po niewczasie, widzieć oddalające się owo szczęście, którego się nie poznało, wyciągać ku niemu ręce i pojmować że to daremne, że już dosięgnąć go nie podobna... Oh!

— Przypomnij sobie, hrabino, że w pani latach nie godzi się o niczem rozpaczać. Znajdzie pani jeszcze sposób być szczęśliwą: może wkrótce śmiać się pani będziesz z boleści terażniejszej.

— A to jakim być może sposobem? Życie jest dla mnie zamknięte. On mnie nie kocha, nie może kochać; jego życie jest odtąd gdzie indziej zwrócone, wszedł w nowe związki.

— Więc pani wiesz o wszystkim? Więc on sam pani wszystko powiedział? Tym lepiej. Bo i co tu poradzić? Starałem się wszelkimi sposobami przekonać go, że robi nedorzeczność niepowetowaną; gorzej jeszcze, że nieszczęśliwą czyni tę biedną panienkę; wszystko daremne! Myślę nawet że ślub przyspieszy.

Ryta śmiertelnie zbladła.

— Ślub!—zawołała. Więc on się żeni?

— Alboż pani o tem nie wiedziałaś?

Kobieta potrząsała głową na znak zaprzeczenia, potem oparła się o poręcz krzesła i zakryła twarz rękami.

— Widzisz pan, nie płaczę, szepnęła po chwili. ¡To było tylko pierwsze wrażenie; teraz już to przeszło; czułam że nie dba o mnie. Teraz lepiej pojmuję przyczynę i jestem spokojną. Opowiedz mi pan wszystko; z kim się żeni?

Hrabia pokrótce opowiedział rzeczy mu znane, mówił z wielkimi pochwałami o Konstancyi, ale powtórzył że nie pochwała postanowienia swego siostrzeńca.

Ryta słuchała z wielką uwagą, i gdy przestał mówić, przez długą chwilę siedziała zamysłona. Nareszcie rzekła:

— Nie masz pan słuszności; ja przeciwnie najzupełniej pochwalam jego postanowienie, nic lepszego nie mógłby uczynić. Będzie szczęśliwym; i ona także, ona co tak na to zasługuje. Życzę im tego obojgu, życzę z całego serca. — Tak więc wszystko się skończyło. Lepiejby było gdybym tu nie przyjeżdżała. Teraz postanowienie moje jest niezachwiane; trzeba opuścić te strony. Trzeba uciekać. Dokąd? Mniejsza o to. Tak, nie mogę, nie powinnam go już widzieć. Ach, kiedy przyszedł owego dnia do mnie i podał mi rękę, jakże pięknym wydał mi się w swej dobroci; chciałam z płaczem paść przed nim na kolana, chociaż mówił tak zimno! A nazajutrz, kiedyś pan mój płacz usłyszał, płakałam myśląc że już go nie zobaczę. Dopóki był, udawałam mężtwo, byłam spokojną, ale gdy odszedł, serce moje się rozdarło! Chciałam jeszcze raz go zobaczyć. Teraz jednak już nie chcę, lepiej go już nie widzieć!

— Uspokój się, hrabino, i chciej mnie posłuchać... Masz pani do mnie zaufanie?

— Najzupełniejsze. Prawdziwe to szczęście dla mnie że pana poznała.

— A więc proszę panią, chciej posłuchać rad moich, i niczego się nie lękaj. Przedewszystkiem nie trzeba odjeżdżać. Jeśli naprawdę nie chcesz się już widzieć z Ryszardem, to mu nie powiesz że tu jesteś i nie zobaczysz go. Skoro jednak pani tu przyjechałaś, więc trzeba tu pozostać. Wiesz pani o tem lepiej odemnie: w okolicznościach

pani najmniejsza rzecz może wszystko zepsuć, lada krok może skompromitować. Ja tymczasem zajmę się pani sprawą; spróbuję rzecz dość trudną, ale która zapewne mi się powiedzie; wszystko jednak zależy od tego żebyś się pani nie ruszała z miejsca. Więc proszę pozostać.

— Stanie się pańska wola. Co pan jednak myślisz czynić? Wszystko daremne.

— Bądź pani o to spokojną. Więc pozostajesz pani?

— Pozostaję jak na teraz.

— Dobrze. W każdym razie nic pani nie czyń nie uwiadomiwszy mię wprzód. A teraz żegnam. Zapewne wyjadę na czas pewien. Niech to jednak nie niepokoi pani. Jeśli prędko nie wrócę, napiszę. Odwagi, hrabino; ale nim odejdę uśmiechnij się do mnie, tym pięknym swoim uśmiechem!... Tak, dziękuję. A teraz żegnam. Ale ale... czy wiesz pani żem się szalenie w niej zakochał? Nie miałem jeszcze czasu powiedzieć tego, ale pewnieś to pani już spostrzegła!

Hrabina została sama ze swemi myślami. Samotność jej była straszną. Gorączka pierwszych dni minęła, teraz pozostał spokój bolesny, ale bardziej gorzki. Prócz tego rozbudzona miłość dla Ryszarda, lubo bez nadziei, ale też i bez pewności że będzie niewzajemną, w skutku wykryć wuja o blizkim ślubie, poniosła cios straszny. Poprzednio jeszcze rozum przekonywał ją, że nie jest kochaną i że nie powinna oddawać się nadziei; ale serce ją miało. Pierwszą jej myślą było odwołać się do niego, i przybyć. Powtarzała sobie, że już nie wróci, a jednak codziennie go oczekiwała. Nie wracał jednak, i zniecierpliwiona szkaradny pokój w oberży pod *Zielonym Krzyżem*, gdzie nie mogła rozstać się z myślą, że tu go raz ostatni widziała, i że już nigdy więcej widzieć go nie miała.

I otrzymawszy zaproszenie od lady Dugby, nie umiała odmówić; zdawało jej się, że jakaś siła magnetyczna wyciąga ją z tej stancyi wstrętnej i zmusza zbliżyć się do niego. I nie mogąc oprzeć się myśli, że go jeszcze może zobaczy, pojechała.

Teraz żałowała tego postępuku. Wytworny salon obity czerwonym adamaszkiem, wcale jej nie rozweselał. Do odosobnienia łączyło się uczucie jakby uwięzienia. Nie wiedziała co Vanelli chciał dla niej uczynić i mało ją to obchodziło; ufała mu, ale na nic nie liczyła. Niecierpliwiła ją samotność; chciałaby uciec w jakie dalekie strony, gdzie nieznana szukałaby odurzenia w zabawach, gdzieby mogła o wszystkim zapomnieć, i zamiast płakać, wybuchnąć śmiechem, bolesniejszym może jeszcze od płaczu. Spojrzenia jej stawały się coraz posępniejsze, lica blade, chód był znużony i ociężały smutkiem ciągłej samotności. Całe godziny przepędzała w zupełnej bezczynności, jakby otrętwiała, z okiem nieruchomem, z opuszczonemi rękami, prawie o niczem nie myśląc. Po tem długiem otrętwieniu nagle wybuchała płaczem gwałtownym; szczęściem jednak takie przesilenia stawały się coraz rzadszemi. Przywodząc sobie na myśl całe smutne położenie płakała, modliła się, zawodziła żale i wpadała w stan tak gorączkowy, że Klementyna z trudnością uspokoić ją mogła.

Niekiedy próbowała zająć się czemkolwiek, czytać, ale daremnie; było już wysileniem herkulesowem, gdy zdołała napisać kilka listów nieodzownych. Albo myślała o swym smutnem położeniu, lub nie myślała o niczem. Przez długi czas patrzyła na jaki przedmiot a nie widziała go wcale. Przez długie godziny stała w oknie i bacznie przyglądała się drobnemu deszczowi, lub machinalnie ze stu

razy z kolei czytała szyld magazynu strojów będącego na przeciwnej stronie ulicy. Takie było jej życie codzienne.

Dni upływały jednostajne, powolne, zupełnie do siebie podobne; a jednak upływały. Czasami przychodził Vannelli i to była cała jej rozrywka. Później te odwiedziny stawały się rzadszemi i w końcu zupełnie ustały, bo stary hrabia zmuszony był znowu za interessami wyjechać. Nie mówił jej wprawdzie, że zajmuje się jej sprawą, ale zawsze był przeciwny jej odjazdowi i prosił żeby cierpliwie czekała jeszcze czas pewien. Młoda kobieta jednak straciła wszelką cierpliwość i sądziła że jest śmiesznem czekać na pomyslną zmianę w którą nie wierzyła. I nie mogła się oprzeć potrzebie szukania rozrywki w zmianie miejsca. Zdawało jej się, że tylko szybki a jednostajny ruch lokomotywy lub dzwonki koni pocztowych mogłyby sprawić zapomnienie o położeniu bolesnem. Jednego poranku napisała do starego przyjaciela świeżej daty: „Dziś wieczór wyjeżdżam do Paryża; wydałam już wszelkie rozporządzenia. Nic już zatrzymać mię tu nie może; gdybym jeszcze jeden dzień tak pozostała z własnemi myślami, z pewnością dostałabym waryacyi. Ani pan ani nikt inny nie może dla mnie nic zrobić. Spodziewam się więc, że się pan nie obrazisz o to iż nie będę posłuszną jego radom, a zapewniam że zawsze pozostanę wdzięczną za wszystko dobre któreś pan już dla mnie uczynił i jeszcze czynić zamierzasz. Proszę jednak pana, porzuć te wszelkie usiłowania, wszystko to daremne. Na miłość Boską, niech Ryszard nie się nie dowie o naszej ostatniej rozmowie! Gdy go pan zobaczysz, uściśnij mu rękę odemnie. Nie zmuszaj mię pan do pozostania tutaj, mocno postanowiłam jechać, a doprawdy nie mogłabym pozostać. Żegnam więc pana, i raz jeszcze dziękuję. Napiszę z Paryża, jak tylko

tam stanę. Tymczasem wybacz pan moje nieposłuszeństwo i zbyt spieszne pisanie tego listu.“

Vanelli był w Tyeście, dokąd go ważne powołały sprawy. Ostatni swój list do hrabiny pisał z tego miasta i zapowiedział, że dni kilka jeszcze tu zabawi. Otrzymawszy teraz list od hrabiny, w pierwszej chwili przeklinał jak Turek wszystkie kobiety przeszłe, terażniejsze i przyszłe, a hrabinę w szczególności. Właśnie poprzedniego dnia napisał w jej interesie, list bardzo ważny i niespokojnie oczekiwał odpowiedzi która miała o jej losie stanowić. A tu zamiast oczekiwanej odpowiedzi, przybywa jej list z wiadomością mogącą wszystko w niwecz obrócić. Jeśli hrabina wyjedzie, wszystko się powikła i popsuje. Trzeba koniecznie temu zapobiedz. Ale jak? W tem trudność. „Dziś wieczór wyjeżdżam“ pisze. Przekłęta niecierpliwosć! Nudziła się już tak długo, dla czego nie miałyby się jeszcze trochę ponudzić?

Stary hulaka długo myślał nim znalazł rozwiązanie. Nakoniec uderzył się w czoło z giestem który we wszystkich językach znaczy: eureka! i pobiegł do biura telegraficznego, gdzie napisał następującą depeszę do hrabiny:

„Zaczekaj pani. Ryszard chce się z panią widzieć. Jutro przyjdzie. Vanelli.“

W godzinę potem hrabia oddał na pocztę list następujący adressowany do siostrzeńca:

„Mój drogi, proszę cię o jedną łaskę której pewno mi nie odmówisz. Chodzi o to. Hrabina mi pisze że wyjeżdża zaraz do Paryża (Mieszka nie w P. lecz w stolicy, ulica św. Anny, Nr. 12, mieszkanie lady Dugby). Owóz dziś lub jutro mogę ją wydobyć z fałszywego położenia i wrócić na dawne stanowisko; ale niepowinna wyjeżdżać. Z listu jej zaś widzę, że tu nicby moje rozumowania nie

pomogły; zresztą nie było czasu na pisanie. Żeby ją więc zatrzymać, posłałem do niej telegram z wiadomością (wybacz, najfałszywszą) że chcesz się z nią widzieć i że będziesz u niej. A więc, mój drogi, zaraz po otrzymaniu tego listu wybierz się do niej i namów żeby pozostała. Choć byś był teraz na wsi, nie to nie szkodzi. Wiem że poczeka na ciebie choćby przez cały tydzień.“

Ryszard nie był na wsi, gdy mu ten list oddano. A nie był dla tej prostej przyczyny, że Konstancya i jej matka przyjechały do miasta, bo pani Gerardi zawsze słaba w zimnej porze roku, potrzebowała radzić się dobrych lekarzy a przytem pragnęła widzieć się z panem Antonim do którego domu w stolicy zwykle zajeżdżała.

Ryszardowi nie bardzo się to podoobało. Wolałby pozostać na wsi. Mówiliśmy już, że w skromnym i sympatycznym domku gdzie się poemat jego miłości rozwinął, czuł bezpieczniejszem swoje blizkie szczęście i o wszystkim zapominał. Czyż w mieście miałyby toż samo bezpieczeństwo, toż samo oderwanie się od wszelkich spraw światowych, tęż samą cichą szczęśliwość, lubo mógł codziennie widywać Konstancyę? A jednak przyjechały i Ryszard starał się urządzić swoje życie tak jak w Mantino; nie bywał u znajomych, zapomniał nawet o kuzynie Andrzeju.

Miłość jego ku Konstancyi wzmogła się powiększona niecierpliwością, którą dawniej uważałyby za nienaturalną. Kochał ją namiętnie, z całej duszy. A jednak często myślał o hrabinie, i z tego powodu smuciła go nowa zwłoka żądana przez Konstancyę. Mocno postanowił nie widzieć już hrabiny; ale niekiedy dziwnie rozumując wmawiał w siebie, że przestałby o niej myśleć, jeśliby ją powtórnie odwiedził w P. Skrupulatnie jednak dotrzymał danej so-

bie obietnicy, i nietylko jak już wiemy, nie wrócił do P., ale nadto nie próbował nawet dowiedzieć się, co się z nią stało od czasu jak miał rozmowę z wujem. Pomimo to, często niepokoiła go ciekawość i nieraz zapytywał siebie, jaka też będzie przyszłość tej kobiety.

Dni upływały, a to wspomnienie o hrabinie zamiast słabnąć stawało się coraz żywszem. Ryszard nie wiedział, że wróciła do stolicy, a jednak czuł że jest bardziej do niej zbliżony. Coraz mu trudniej było wytrwać w postanowieniu nie zabaczenia jej już nigdy, i co dzień silniejsza pokusa ciągnęła go do niej: chciałby pożegnać ją po raz ostatni.

Ta pokusa stała się jeszcze potężniejszą, i łatwo to zrozumieć, gdy jednego poranku na zakręcie ulicy spotkał Klementynę, która mu oznajmiła, że oddawna już hrabina jest w mieście i wskazała jej mieszkanie. Pokojówka dodała, że pani znudzona na śmierć, zapewne wkrótce wyjedzie. A jednak Ryszard jeszcze walczył; myśl że Ryta wkrótce odjedzie i że wraz z nią zniknie niebezpieczeństwo, dodawała mu odwagi. Po całych dniach siedział z Konstancją i robił co mógł żeby sobie nie przypominać, że tylko kwadrans drogi oddziela go od hrabiny.

Przy takim usposobieniu duszy nie będzie dziwnem gdy powiemy, że list wuja sprawił na nim mocne wrażenie. Nagle zdało mu się że jakaś fatalność popycha go ku temu domowi od którego dotychczas stronić miał siłę. Choćby nawet chciał, nie mógł odmówić prośbie wuja i nie być użytecznym dla tej której już sam ofiarował swoje usługi. Byłoby śmiesznem, jeśliby jeszcze lękał się upadku; taka obawa stałaby się tchórzostwem niegodnem mężczyzny. A w głębi serca rad był, że mógł tak dobrze sobie to wyrozumować. Wszystkie te myśli w jednej sekundzie prze-

mknęły mu w głowie; ale już nie walczył, i zaraz po przeczytaniu listu kazał się zawieść na ulicę św. Anny pod numer 12.

Ryta po wysłaniu do Tryestu znanego listu, co żywo zrobiła przygotowania do podróży, i wieczorem w ubraniu podróżnem i w kapeluszu na głowie czekała już na powóz który miał ją zawieść do stacyi, gdy przyniesiono jej telegram od hrabiego Vanelli. Przeczytała i twarz jej nagle się rozjaśniła. W tej chwili weszła pokojówka mówiąc:

— Proszę pani hrabiny, powóz zajechał.

— Już mi nie potrzebny, Klementyno. Nie pojedę dzisiaj.

Pokojówka, acz trochę przyzwyczajona do nagłych zmian w usposobieniach pani, była jednak zdumiona temi słowy, widziała bowiem jak w ciągu dnia pani była nieodwołalnie zdecydowaną. Nic jednak nie odpowiedziała, a hrabina zdjęła kapelusz i poszła się przebrać.

Tego wieczora jednak i nazajutrz przez cały dzień daremnie oczekiwała Ryszarda. Zaczynała już powątpiewać o jego przyjściu; przyszło jej na myśl, że może stary Vanelli użył takiego podstępu żeby ją zatrzymać; a jednak nie myślała już o wyjeździe. Myśl, że może go jeszcze zobaczyć, przykuwała ją do miejsca. Czekając cierpiała i radowała się zarazem. Zgasła nadzieja ujrzenia go znowu, zwolna powracała, a współcześnie rosła obawa że nie przyjdzie; nadzieja i obawa burzliwie poruszały jej pierś i serce jej mocno biło. Spojrzenia, zamiast błędzić jak dawniej w przestrzeni, teraz nieruchome zwrócone były ku drzwiom.

Nakoniec, właśnie gdy już zaczynała rozpaczać, drzwi te się otworzyły i on wszedł. Zrzekamy się opowiadanie tego co kobieta uczuła w tej chwili. Nie podniosła rękę,

nie wyszła jak dawniej na jego spotkanie; nie miała siły. On postąpił ku niej; ona patrzyła na niego wzrokiem nieruchomym, i tak się jej zdawało niemożliwem to że go narzeczcie ogląda po tak długiem rozpaczaniu. tak jego widok wydał się jej urzeczywistnieniem marzeń nieziszczonych, że nie mogła oderwać od niego oczu, i siedziała jakby oczarowana, i choć słyszała, nic nie rozumiała słów które do niej przemówił.

Ryszard także czuł pewne wzruszenie, ale umiał je ukryć. Zaledwie wszedłszy spostrzegł, że ma do zwalczania jedną wielką trudność. Co jej powiedzieć? List wuja zawiadomił go o telegramie przesłanym do niej z temi słowy: „Mój siostrzeniec pragnie pomówić z panią.“ A on przeciwnie nie chciał z nią mówić, i nie miał nic do powiedzenia; przyszedł tylko spełnić polecenie wuja i namówić ją do pozostania. Przyszedł jednak nagle, bez rozważy, nie pomyślawszy o tem co miał powiedzieć i jak spełnić otrzymane zlecenie. Był więc mocno zakłopotany; niewątpliwie ona sądziła, że przyszedł z własnego popędu; skoro chciał z nią się rozmówić: miałże utrzymywać ją w błędzie lub też powiedzieć prawdę? Po przywitaniu więc milczał przez chwilę, ale potem przewyciężył wahanie się i opowiedział prawie całą prawdę.

— Teraz rozumiem, odpowiedziała wówczas. Pański wuj nie napisał mi prawdy; pan nie miałeś nic do powiedzenia mi, i byłbyś wcale nie przyszedł. Przychodzisz pan, bo cię przysłał. Domyślałam się tego, a jednak pozostałam; widzisz pan jak jestem słabą. Dla czego jednak pan przyszedłeś, po co?

— Pragnę namówić panią żebyś pozostała. Sama pani
"świłaś, że lada krok może cię skompromitować. Zape-
"e wkrótce, gdy pani się uzbroi w cierpliwość, wszystko

się zmieni na lepsze i rozproszy się smutek który teraz panią przygniata. Nie trzeba tego psuć fałszywym krokiem. Nie przeczę że wuj do mnie pisał, ale teraz proszę panię od siebie, we własnem imieniu i z własnego popędu. bo mi także chodzi o pani dobro. Dla tego raz jeszcze proszę panię: pozostań.

— A cóż panu na tem zależy?

Trudno wyobrazić sobie całą gorycz z jaką wymówione były te wyrazy.

Ryszard uczuł teraz głęboką litość. Pojmował że nie może już przemawiać do niej zimno jak dawniej, i że nie zdoła powstrzymać się od powiedzenia jej słów czułych.

— Co mi zależy? powtórzył. Więc pani sądzisz, że nie mię nie obchodzi to co losu twego dotyczy? Więc przypuszczasz, że jestem bez serca, nieczułym na wszystko, samolubem w najpospolitszem znaczeniu tego wyrazu? Więc nie spostrzegła pani iż pomimo mego chłodu, żywo uczułem pani osamotnienie, niedolę i smutek? Więc chyba pani mię nie znasz i nigdy nie znałaś? Bierzesz mię za jedno z gawiedzią głupców i wyobrażasz sobie, że owego dnia przyszedł tylko z ciekawości żeby panię zobaczyć. A przytem, powiedz mi pani, czy sądzisz, że rzeczywiście z braku uczucia nie powróciłem już więcej?...

Kobieta podniosła ku niemu wielkie ciemne oczy i bacznie na niego patrzyła. Lekki rumieniec wystąpił na jej lica, a oddech jej stał się niespokojnym i urywanym.

Ryszard mówił dalej:

— Nie prawdaż, że mię pani aż do tego stopnia spottwarzasz? Samotność zaślepią; zle które inni wyrządzili pani, sprawia że jesteś niesprawiedliwą względem wszystkich i że nie poznajesz przywiązania tych co o los twój się troszczą. I pani masz odwagę zapytać, co mi na tem za-

leży? Czyliż nie widzisz, że mi zależy na tem stokroć więcej niż sobie wyobrażasz. stokroć więcej niżby to moja było powinnością?

— Byłoby to prawdą, panie Ryszardzie? Tak, czuję to; jesteś jeszcze lepszym niż sobie wyobrażałam; pozwól mi pan jednak odjechać, wierzaj mi, tak będzie lepiej.

I on wiedział że tak byłoby lepiej, a jednak odparł:

— Zaczekaj pani przynajmniej na powrót wuja; później możesz pani wyjechać; jeśli jeszcze zechcesz; czemu nie poczekać? Nie żądam żebyś pani zrzekała się swego projektu, ale tylko proszę żebyś go odłożyła na później.

— Nie, nie mogę czekać, odpowiedziała znękanym głosem. Zaklinam pana, nie zatrzymuj mnie. Nic już i od nikogo się nie spodziewam; nie chcę robić daremnych kłopotów moim przyjaciółom. Samotność, zamknięcie w tych murach i bicie się z własnymi myślami są męką nad moje siły; zwaryowałabym siedząc tu dłużej. A nie mię tu nie zatrzymuje. Nie wiem co mnie spotka gdzieindziej. Może zdołam się rozerwać, zapomnieć... może smutek wszędy ścigać mię będzie, w każdym atoli razie zajdzie zmiana. Jeśli mam cierpieć wszędzie, niechże przynajmniej miejsce cierpień się zmienia. Nie mówmy już o tem. Napisz pan do wuja, żeś zrobił coś mógł żeby mię przekonać, że jednak byłam upartą, i jutro wyjeżdżam.

— Jakto? Nie chcesz pani wysłuchać mej prośby? Ależ ja panię błagam: pozostañ!

— Błagasz mię? Posłuchaj, panie Ryszardzie. Nie zapytam jak przed chwilą: co ci na tem zależy? Powiedziałeś, że masz jeszcze trochę przywiązania do mnie, i wierzaj mi, słodką dla mnie było pociechą słyszeć te słowa, pierwsze prawdziwie dobre któreś powiedział gdy cię zuów zobaczyła. Nie powtarzam więc tego pytania:

ale doprawdy mówiąc otwarcie, czy nie lepiej będzie że pojedę, czy nie lepiej że już się nie zobaczymy?

Ryszard patrzył na nią zamyślony gdy mówiła. i nic nie odpowiedział. Czuł że zwolna przenika go urok tej kobiety, i że go wskroś przejmują uczucia które tłumiła ale które stawały się widocznymi. Myśl że jakaś fatalność popchnęła go ku niej, chociaż postanowił był nigdy już jej nie widzieć, zawładnęła nim całym, i teraz rozumiał że się już od niej nie uwolni. Ciekawość poznania nowej kobiety która się objawiła w hrabinie, wzrastała co chwila, a jej piękność pociągała go.

Tymczasem niebo pochmurne stało się zupełnie czarnem i wkrótce lunął gwałtowny deszcz z gradem. Przez okna zasłonione jedwabną czerwoną firanką nie dochodziło prawie światło. Słyszać było tylko jednostajny łoskot padającego gradu i trzaskanie ognia na kominku.

W końcu Ryszard wyszeptał:

— Dla czegoż pani wyjazd uważa za konieczność? Dokąd zamierzasz się udać? Tu przynajmniej masz pani przyjaciół gotowych każdej chwili nieść ci pomoc, gotowych...

— Gdybym tu pozostała, czybyś pan o mnie pamiętał?

— Z pewnością.

— Więc zniemiłeś pan postanowienie swoje. Ja jednak nie chcę żebyś przychodził.

— Dla czego, cóżem pani zawinił?

— O, przyjacielu mój, niceś nie zawinił, owszem wyświadczyłeś mi wiele dobrego, i zawsze będę ci za to wdzięczną. Ale teraz posłuchaj. Skoro cię jeszcze oglądam, ja com już oswoiła się z myślą że nigdy cię nie zobaczę; skoro mówimy z sobą otwarcie, więc lepiej powiem wszystko. Może po tej spowiedzi będziesz miał więcej

dla mnie szacunku i pozwolisz mi odjechać. Dziwnem mi się wydaje, że chcesz mię zatrzymać, skoro sam, pamiętasz? radziłeś mi udać się daleko w spokojne zacisze? Dla czego zmieniłeś zdanie i chcesz mię tu zatrzymać? Czyliż nie widzisz, że nie mogę tu pozostać? A i ty sam, czego-bys chciał odemnie? Twoje życie zwrócone jest w inną stronę, bardziej jeszcze niż przypuszczałam; twój wuj powiedział mi wszystko, mówił mi że wkrótce zaślubić masz młodą panienkę którą kochasz. Więcżeń się, i bądźcie oboje szczęśliwi!... Dla mnie nic już nie pozostaje. Gdybyś był jeszcze wolnym i kochał mię trochę, gdybyś mnie nie odepchnął i gdybym ja mogła przyjąć twoją miłość, poświęciłabym dla ciebie całe swoje życie!... Przysięgam. Taka moja spowiedź. Jestto wykrzyk serca, co się otwarło na chwilę, i zaraz zamknęło na zawsze. Nie przerywaj mi, i na miłość Boską, nie patrz takimi na mnie oczyma, bo nie będę mogła mówić dalej, a postanowiłam sobie nie nie przemilczeć. Ostatnia to godzina, później już się nie zobaczymy. O, ja teraz błagam cię, pozwól mi odjechać! Niekiedy zdaje mi się że tracę rozum. Gdybyś mię kochał, rozpocząłabym na nowo istnienie, nie troszczyłabym się o przeszłość ani niepokoiła o przyszłość. Nie zważałabym na to co ludzie mówią i myślą o mnie. Wesoło rzekłabym się wszystkiego, przyjąłabym każdą dolę: samotność, pogardę i wraże konieczności, ubóstwo. Zdawałoby mi się, że rozpoczynam nowe życie. To marzenie przemknęło mi w głowie, ale się nie zatrzymało. Nie sądz, że jestem rozczarowaną. Nie, zapomnij o mnie, zapomnij nawet o tej spowiedzi która mimowolnie teraz wyrывa mi się z duszy; idź swoją drogą, idź do szczęśliwości jaka cię czeka, zaślub tę której przymioty umiałeś poznać i ocenić. Może w tem poświęceniu jest moja kara: niechże się speł-

nil... Patrzaj, nie płaczę już, nie rozpaczam; rozstańmy się tak, abym posiadając twój szacunek, sama mieć go dla siebie mogła. Podaj mi rękę; idź z Bogiem, a jutro rano niech nas przedzieli przestrzeń jaka być między nami powinna. Nie czujeszże teraz że tak lepiej? O, lepiej! Więc uczyn tak, póki się czuję na siłach. Żegnaj, żegnaj, idź z Bogiem!..

Mgła zaćmiła Ryszardowi oczy i zdawało mu się, że serce pęknie mu w piersi,—w całej istocie swojej uczuł chwilową a gwałtową nawałnicę. Płomienie rzuciły mu się do głowy, i zapomniał o wszystkim przy tej kobiecie zbyt pięknej w swej boleści, i zbyt powabnej w swej winie.

Gorączkowo ścisnął jej rękę i rzekł urywanym głosem:

— A sądzisz może, że mi łatwo ztąd odejść? Nie, na to potrzebaby siły nadludzkiej, a ja jej nie mam, nie mogę mieć i mieć nie chcę! Czy nie widzisz, że od owego dnia uciekał od ciebie, bom cię już kochał, i że daremnie usiłowałem stronić, bo los znowu nas połączył? Czy wiesz Ryto, że kiedym znów cię zobaczył, wydałaś mi się kobietą zupełnie nieznaną i zaraz zaniepokoiłaś moje serce? Czyżbyś nagle zapomniała o uroku jaki wywierasz? Czyżbyś nie wiedziała, że piękność twoja jest dziś potężniejsza? Pozwól mi tak pozostać, niech trzymam twe ręce w mych dłoniach, a jeśli mię kochasz, powiedz to raz jeszcze i pozostań!... Czy myślisz, że wiedząc o twojej miłości mógłbym cię ztąd puścić?...

Kobieta stała się bladą jak posąg i instynktowym ruchem cofnęła swe ręce z jego dłoni.

— Zaklinam cię, panie Ryszardzie, odejdz. Bo gotowam pomyśleć, że się omyliła uważając ciebie za wyższego od innych. Nie mogę już walczyć, jestem rozbrojo

ną, wyznałam ci wszystko, niechżeż tego nie żałuję. Odjadę, a wierzaj mi, to lepsze.

On zawołał z gorączkowym zapałem:

— Nie, pani nie pojedziesz! Ja cię o to proszę i nie możesz mi odmówić. Wiem że nie mam słuszności, wiem że źle czynię, ale chcę żebyś pani została. Inaczej być nie może. Jakaś fatalność sprowadziła mnie tutaj, a skoro przyszedł, nie pojedziesz pani. Nie nie żądam, proszę tylko żebyś pani została. Jak możesz odmawiać po tem coś mi powiedziała? Mówisz pani że lepiej pojechać. A może, kto wie? może jabym za panią pojechał?...

— O, panie Ryszardzie!...

— Więc niech pani pozostanie. Szczęśliwy jestem że wuj mię tu przysłał, i nie odejdę dopóki nie otrzymam pani obietnicy. Nie odpowiadasz pani? Wahasz się? Zaczynasz się przekonywać? O powiedz, powiedz!

Kobieta była wzruszona, prawie zwyciężona.

— Odpowiedz pani, błagam, zapewnij mię że nie pojedziesz...

Kobieta wyszeptała:

— Ha, niech i tak będzie. Stanie się według pana woli. Nie pojedę.

ROZDZIAŁ II.

Od tego czasu, trudno byłoby utaić przed czytelnikiem, —jak Ryszard nie mógł utaić przed sobą—życie jego było podwójne. W sercu jego były dwa uczucia: jedno mocniejsze i czystsze panowało wprawdzie; ale drugie, acz

zwalczane, fałszywe i cierpkie, niepokoiło go i narzucało się.

I nie jest to rzeczą nie do uwierzenia. Takie walki zdarzają się częściej niżby można przypuszczać; dwie miłości mogą zająć miejsce w jednym sercu, zwłaszcza gdy są różnej natury, jak właśnie tu było. Żeby zrozumieć w jaki sposób, pomimo całego oporu naszego bohatera, hrabina niepokoiła jeszcze jego serce, wypada uprzytomnić sobie jego dawniejsze życie któreśmy już w głównych zarysach skreślili.

Należy przypomnieć sobie, że hrabina gdy ją widział po raz ostatni, była w całym przepychu blasku i powodzeń, i że gdy ją znów ujrzał stawiawszy się na jej wezwanie, była zmienioną do nie poznania. Wtedy zrozumiał, że jednej strony duszy tej kobiety wcale nie znał. Konstancya była panną dumną, szczerą, pełną prostoty i skromności dziewiczej. Hrabinę zaś znał jako wielką panią, jako piękność podziwianą przez wszystkich, i dla tego chowającą w ukryciu liczne zalety, które miały się okazać dopiero w wielkich wstrząśnieniach życia.

Ryta Alviano, gdy ją znowu ujrzał, była typem odrębnym. Pozostała jeszcze wielką panią w obejściu, ale nie było już w niem owej dawnej wyniosłej i pysznej wytworności; stało się piękniejszą i rozumniejszą, jej spojrzenie było przenikliwszem a rozmowa poważniejszą i głębszą. Dawniej uśmiech jej pokazywał tylko śliczne zęby, teraz opowiadał dzieje serca. Na poły zbuntowana przeciw społeczeństwu, była swobodniejszą w obejściu, dźwięk i ton jej głosu stał się ironiczniejszym, spojrzenie miała smutne ale śmiałe, lubo w liście do Ryszarda, jedyne go człowieka do którego się zwróciła, była bardzo pokorną. Zachowując świetność nazwiska, pańskie wychowanie

nawyknienia życia w wyższem towarzystwie, należała teraz do owych kobiet co nader zajmują dla tego właśnie że do żadnej nie należą klasy. Jeżeli mężczyźni często czują wielki pociąg do aktorek teatru, o ileż żywszą ciekawość ich budzić muszą owe aktorki życia rzeczywistego, które widzieć można zbliżka, nie w sztucznem świetle na scenie, lecz po skończonem widowisku, gdy zrzucą wieńce i klejnoty i choć na krótko spróbują żyć życiem prawdziwym!

A takie właśnie miało być życzenie hrabiny; żyć odepchnąwszy wszystko co dawniej uważała za cel życia. i iść prosto do celu którym dawniej wzgardziła. Droga jednak którą obrać chciała, była przed nią z góry zamkniętą.

Ryszard, wyznać to trzeba, dobrowolnie wszedł na krętą ścieżkę, chociaż wiedział że ona wiedzie na bezdroża. Tłumaczyło go tylko to, że okoliczności były wręcz przeciwnie jego postanowieniom, tak dalece, że jak mu się zdawało, nie miał już zupełnej wolności woli. A nie łudził się wcale: jasno widział, że tylko w miłości ku Konstancyi była prawda, była istotna szczęśliwość; widział to, a jednak...

O, gdyby mógł natychmiast zaślubić Konstancję i uciec z nią daleko! Było to jednak niemożliwem. Owszem, jej smutek i to co nazywała swemi przeczuciami, które chciała rozproszyć nim dzień ślubu wyznaczy, zamiast słabnąć stawały się coraz posepniejszemi. Dla czego? Miałaż jaki do tego powód? Czy podejrzывała Ryszarda? Myśl taka na chwilę powstała w jego głowie, ale ją odepchnął zaraz jako nedorzeczną. Za to było dlań niewątpliwem, że wszelkie usiłowanie przyspieszenia ślubu, jakby pragnął, byłoby zgoła daremnem.

Ryszard znał życie—więcej może z przeczucia i postrzegania niż z doświadczenia—ale znał je tyle, że mógł jasno osądzić, co czynić wypadało. Miał on rozum praktyczny a najlepszą zaletą jego umysłu był dar spostrzegania. Pewne prawdy, które wielu poznaje dość późno, dla niego już w młodym wieku były oczywistymi. Kiedy zakochawszy się w Konstancyi, poznał miłość w jej objawie najwznioślejszym, kiedy poznał zarazem to co jest w kobiecie najczystszej, najszlachetniejszej i zarazem najnamiętniejszej, zaraz jasno ujrzał, że to jest miłość prawdziwa, że to jest szczęśliwość prawdziwa i prawdziwy cel życia. Od owego czasu, cożkolwiek zeszło, nie mógł już wątpić; i właśnie dla tego musiał czuć większą boleść z powodu wszystkiego co go od tej miłości odrywało, i czuć żywsze zgryzoty sumienia z powodu każdej swej winy.

Przez pewien czas zdawało się, że już jest zahartowany przeciw wszelkim pokusom. Przebiegając myślą wszystkie kobiety znane lub które mógł jeszcze poznać, czuł się bezpiecznym; żadna bowiem nie mogła ani na chwilę oderwać go od miłości ku Konstancyi; kiedy jednak ujrzał znowu hrabinę, znalazł w niej inną kobietę, kobietę o której nawet nie miał wyobrażenia. I od tego dnia, chociaż nie zdawał sobie sprawy ze swoich uczuć, rozpoczęła się w nim walka.

Były chwile, że zdawało mu się iż zwyciężył; po pewnym przeciągu czasu od bytności pod *Zielonym Krzyżem*, gdy opierał się pokusie ciekawości i już tam nie wracał, zdało mu się już jest ocalony. Odetchnął swobodnie, uwierzył że przesilenie minęło, i że zwolna rozproszyła się groźna chmura na jasnym niebie jego miłości.

Zaufanie to jednak krótko trwało: przyjazd hrabiny do miasta, jakieśmy widzieli, znowu go zaniepokoił, for-

tel wuja popchnął go ku niej fatalnie, i wyobraziwszy sobie, że losy są przeciw niemu. nie miał już sił do walczenia.

Ze swej strony hrabina w przesadzie chwilowej swego upokorzenia, i w egzaltowaniu swego upadku, bez oporu chciała być zwyciężoną. A przecie walczyła. W zmartwieniu swoim instynktowo zwróciła się ku niemu, wiedząc że był dobrym i szlachetnym; a gdy ujrzała go znowu, cała jej miłość rozbudziła się z potęgą olbrzymią. Umiała jednak nieco się opierać; nie prosiła go żeby wrócił, próbowała udawać obojętność. Jakże jednak łudziła się sądząc że jest silną! Po jego odwiedzinach podwójnie uczuła ciężar samotności, i zdawało się jej, że wszystkie bóle rzeczywiste któreby mogły spaść na nią, niczem byłyby w porównaniu z okropną próżnią jaką czuła w duszy. Przyjęła propozycję lady Dugby, bo chciała zobaczyć go raz ostatni. A wtedy dowiedziała się jak bardzo był od niej oddalony. Vanelli mówił jej o małżeństwie. i chciała opierać się jeszcze, chciała wyjechać, ale ją zatrzymał telegram z Tryestu; nie mogła odjechać dowiedziawszy się że Ryszard ma przyjść do niej. Vanelli, fortem swoim o wiele prześcignął cel do którego zmierzał. Młodzi ludzie ujrzeni się znowu, i postanowienia obojga runęły.

Jak na tej ziemi krótkimi są chwile cichej pogody duszy! Jak Ryszard czuł się teraz dalekim od dni szczęśliwości spokojnej i bezpiecznej! Cofając się myślą wstecz, sądził że dużo już upłynęło czasu, gdy w rzeczy samej jedna tylko pora roku minęła, a patrząc przed siebie widział daleko w mgle niewyraźnej chwilę gdy tę szczęśliwość spokojną odzyska. Teraz nie mógł już dojść do tego najwyższego i od tak dawna upragnionego celu bez pewnej ofiary, ofiary nie bolesnej, gdy pomyślał o nagrodzie

jaka go czeka, ofiary koniecznej, którą rozum zarówno jak serce nakazywały, a jednak ofiary...

Cały świat rzeczy zapomnianych i nowych ukazał mu się teraz. Pokusy miłości świadomie czyniącej źle, widzącej zgryzoty sumienia, a jednak ku nim dążącej, słodczye wyrafinowanego występku — wszystko to razem i zniemacka go oczarowało. Jeżeli zepsucie może mieć powaby w tem co ma najbrzydszego, o ileż powabniejszą będzie chorobliwa poezya złego, któremu dodaje czaru to właśnie, że się je zna doskonale! W naturze naszej bywa niekiedy odrobinka pychy tak dalece szatańskiej, że czuję rozkosz buntu i z radością idziem przeciw temu co nasze najlepsze uczucia doradzają.

Niekiedy naprzykład kobieta upadając wznosi się w naszych oczach; bywają bowiem zdrożności, które się stają, że tak powiem, zaletami; bywają bowiem pewne słabości które się wydają szczytnymi, i w upadku swoim kobieta jeszcze nam wtedy imponuje. Hrabina w położeniu swoim czuła, mimo swe zdrożności, że świat był względem niej zbyt surowym; pozostała też jej jedna rzecz tylko — szacunek własny. I nic jej bardziej pocieszyć i na duchu pokrzepić nie mogło, jak przyjaźń szczerą i bezintereso-wną człowieka, który mógł jeszcze podać jej rękę. Kiedy zapragnęła widzieć Ryszarda, jak to szczerze napisała, chodziło jej tylko o usłyszenie przyjacielskiego słowa. A czując potem że w sercu budzi się dawna miłość przyodziana w nowe i żywsze barwy, nie robiła sobie złudzenia. Domysłając się, że życie jego zapewne zwróciło się w inną stronę, walczyła. A walczyła mężnie, szczerze, bez obłudy względem siebie samej, a bardziej jeszcze walczyła dowiedziawszy się, iż Ryszard ma się ożenić; postanowiła wyjechać i uciec od tej namiętności która byłaby

tylko nieszczęściem dla nich obojga. Gdy jednak i on spostrzegł fatalność popychającą go ku niej, gdy rozwiały się wszystkie jego postanowienia, gdy wyznał że ją kocha nie przed nią nie ukrywając i prosił o jej miłość, ona zamknęła oczy i dała się unosić prądom, uradowana, zadowolona, wyzywając przepaść która ją czekała w głębi, i wiedząc że ją ta przepaść pochłonie. Gubiła się, bo chciała się zgubić; nie żądała nic, lekceważyła wrodzoną dumę, deptała własną próżność, poświęcała wszystko, żyła tylko terażniejszością i nie myślała o przyszłości, ona co tak potrzebowała o przeszłości zapomnieć.

Nie będziemy opisywali pierwszych dni jakie przepędzili po wyżej przytoczonej rozmowie Ryszarda z hrabiną. Gdyby w chwili spokojniejszej sami probowali to opisać, nie byłiby mogli; gdy się budzi z jakiego upojenia, ma się jedynie mętne wspomnienia uczuć przeciwnych. Mogli by sobie przypomnieć tylko, że w tych dniach nie pamiętali o niczem. We wszystkich prawie szczęśliwościach gwałtownych jest pewna cząstka zapomnienia. Im silniejszymi byli do owej chwili, tem słabszymi stali się później; gdy opór ustał, opuszczenie się było zupełne. Raz dotknąwszy ustami czary, chcieli ją spełnić do dna i mieć rozkosz wyśączenia ostatniej kropli. Nie myśleli o niczem i pojowali, że lepiej to dla nich było iż nie mogli myśleć.

Ryszard robił wielkie wysilenia, żeby na prawdę nie stracić głowy, żeby nie dać po sobie nic poznać, żeby zachowywać ostrożność roztropną i — nie mozem tego przemilczeć—żeby udawać przed Konstancją. I cudownie mu się to powodziło. Ale jakież to życie nużące, powikłane, gorączkowe! Rano wychodził ze swego mieszkania, uiby na przechadzkę, brał na placu dorożkę i jechał na ulicę Św. Anny; tak samo wieczorem posiedziawszy u państwa

Gerardi, wracał tam z wszelkiemi ostrożnościami, żeby nie był widzianym. I nagle nauczył się udawać, zmyślać i kłamać, chociaż dawniej uważałyby to za rzecz niemożliwą. Czuł wyrzuty sumienia, czuł karę, ale był jakby oduńczony podrażnieniami tego życia niezwykłego i gorączkowego.

Ona nie myślała już o niczem, nie troszczyła się już nawet o szacunek własny. Dla tych kilku godzin miłości ukradzionych rywalce poświęcała wszystkie uczucia jakie miała przed kilką jeszcze dniami, poświęcała ów drobny skarb zacności duszy ocalony z ruiny własnej, poświęcała myśl o ofierze, która dotychczas była jej podporą, poświęcała część własnej przyszłości a może i szacunek Ryszarda, który niedawno jeszcze taką był dla niej pociechą!

Nie podobna jednak żeby Ryszard nie spostrzegł, jak to już napomknęliśmy wyżej, że w tym jej sposobie postępowania, w tem uleganiu namiętności własnej, w tej winie ostatniej, była obok wielu ułomności pewna duma.

Albowiem hrabina ani na chwilę nie pomyślała wydrzeć go Konstancyi; za kilka dni rozstanie się z tym którego tak szalenie kochała, a czyż wtedy jej życie nie będzie jeszcze cięższem i ciemniejszym niż wówczas gdy sądziła że powinna odjechać nie widziawszy go powtórnie? Jak okropna noc nastanie po tych kilku znikomych dniach zapomnienia? Jak smutne myśli, jakie zgryzoty i kary! Dziś szczęśliwość, jutro próżnia zupełna. A te dni, te godziny upływały z szybkością przerażającą, jakiej nigdy w życiu swem nie znała. Ciągłe tykanie wahadła zegaru stało się jej nieznośnem. Chciałaby zatrzymywać upływające minuty, ręką zwolnić bieg niepowstrzymany czasu, lub też pragnęła cały szal tych dni policzonych zawrzeć w jednej minucie radości najwyższej, a po tej minucie—umrzeć.

Zamiast tego, złowroga rzeczywistość rzucała już swój cień zawczasu. Należało już odjeżdżać, należało opuścić go, mieć siłę zostawienia go z tą która mogła dać mu szczęśliwość prawdziwą; należało poświęcić się dla jego przyszłości, oddalić się samej, smutniejszej, występniejszej, i bardziej niż kiedykolwiek opuszczonej! A trzeba było odjeżdżać zaraz. Sen trwał tak długo jak trwają sny, teraz się skończył, nic już go wrócić nie mogło. I nagle ujrzała swe życie ze strony ohydnej i pogardy godnej.

I zdało jej się, że nadszedł ostatni dzień tego życia, gdy światłoienne wpadło do pokoju, w którym miała ostatni dzień przepędzić, do pokoju gdzie zostawiała radości najwyższe i łzy najszczerze. Postanowiła jechać tego jeszcze wieczoru, i przysięgła sobie że będzie mężną i że niczem nie da się od tego postanowienia odwieść. Zastłona spadła z oczu; hrabina pojmowała, że jej powinnością jest odjechać, spełnić ofiarę, być sprawczynią szczęśliwości Ryszarda a nie przeszkodą w niej; zrozumiała, że dłuższe zwłoki uczynią rozstanie sroższem i spełnienie powziętego postanowienia trudniejszym.

Ryszard przeciwnie był jeszcze we śnie, nic już nie pojmował, nie mógł się zgodzić na odjazd hrabiny, a jednak pragnął zaślubić Konstancję. Biedny, nie wiedział już czego pragnął: cierpieć.

ROZDZIAŁ III.

Kiedy tego wieczoru Ryszard wyszedł z bramy pod N. 12 na ulicy Św. Anny, twarz jego nie wyrażała smutku,

lecz raczej wzruszenie nadzwyczajne. W jego chodzie nawet była jakaś niespokojność gorączkowa. Noc była pogodna i chłodna a on prawie biegł przez puste ulice. Czasami mimowolnie robił dziwaczne giesty, z których nie podobna byłoby odgadnąć myśli go zajmujących.

Przyszedłszy do domu, padł na kanapę, i długo na niej siedział nieruchomy i w myślach pogrążony.

Cóż więc zaszło tego wieczora? Opowiemy pokrótce. Zakończenie ostatniego widzenia się z hrabiną stało się wręcz przeciwne temu jakie przewidywał. Poszedł do niej z niewymownym smutkiem w duszy, ze smutkiem człowieka niezadowolonego i upokorzonego, bo smutek ten nie mógł się pogodzić z miłością którą czuł dla Konstancyi. Poszedł na ową krótką a bez końca chwilę pożegnania, która zostawia w sercu ranę. I zastał hrabinę pogodną mimo głębokiej melancholii, rozkochaną i czarującą. Była smutną, ale silną, gotową się poświęcić. Nadeszła chwila rozstania. Hrabina wsparłszy głowę na jego ramieniu przeprowadziła go do drugiego pokoju - w którym nie było światła. Gdy zbliżyli się do drzwi które miały rozłączyć ich na zawsze, otoczeni ciemnością do walki ich serc tak podobną, uczuli w duszy jakby rokosz przeciw okrucieństwu losu i hrabina słabym głosem wyszeptała te słowa których stłumić nie miała mocy: „Nie, niepodobna!“

I te słowa wyrzeczone w chwili ostatniej, wystarczyły: Ryszard uczuł się zwyciężonym. Poraz pierwszy na prawdę zapomniał o wszystkim, i zdało mu się że okupić uzupełnienie tej szczęśliwości choćby za cenę złego czynu i wyrzutów sumienia, nie było jeszcze rzeczą zbyt drogą. W ostatniej chwili hrabina nie miała siły rzec się go na zawsze i nie była zdolną do takiej ofiary. A jakaż słabość mogłaby być zaraźliwszą? Ryszard z wybuchem słów

bez związku, dziwnie w swem szaleństwie wymowny, ofiarował jej wszystko, oddawał się jej na zawsze, przysięgał że nigdy się z nią nie rozłączy i że nigdy tak jej nie kochał jak w tej chwili...

W tej egzaltacyi niewysłowionej zapomnieli o wszystkim. Postanowili nie opuszczać się i razem uciec. Czas naglił. Ryszard, jakieśmy widzieli, pobiegł do domu w stanie gorączkowego wzruszenia, jakie musiało sprawić powzięcie zamiaru. od którego przed kilką godzinami o sto mil był dalekim.

Po kilku minutach przepędzonych w ciszy swego pokoju, gorączka uśmierzyła się i powzięty zamiar w całej jasności i grozie ukazał się przed oczyma jego duszy. I wyrzuty sumienia zaczęły już zatruwać mu radość namiętności. Położył się do łóżka, ale zasnąć nie mógł. Najsprzeczniesze myśli staczały bój w jego głowie.

Najpiękniejsze złudzenia życia teraz znikają. Owa miłość którą poczuł ku Konstancyi, i która wydawała mu się nietykalną, szczytną i najwyższą, teraz nie była już doskonałą; ta szczęśliwość nie była już zupełną, skoro inna namiętność mogła ją zakłócić; ów płomień, co mu się wydał boskim, był także ziemskim jak inne. Wierzył, że ma w duszy miłość jedyną; jak bolesnem musiało być spostrzeżenie że i ta miłość mogła być podzieloną!

I uczuł srogą potrzebę pogardzania sobą. Wszystko dokoła niego runęło. On pierwszy uchybił swojej powinności, zdradził miłość prawdziwą, zdeptał kwiat najpiękniejszy swojej młodości, wyparł się swojej wiary, stracił złudzenia. Hrabina także zstępowała z piedestału na którym same błędy ją stawiały, i stawała się kobietą ułomną i namiętną, nie zdolną wytrwać w powziętem postanowieniu, i mimowolnie ciągnącą go w przepaść tak fatalnie

i złośliwie, że nie postąpiłaby inaczej jeśli by była wyrachowaną i przewrotną. A i to jeszcze przypuszczenie było najlepszem dla niej; czyż bowiem całe jej postępowanie dotychczasowe nie mogło być zmysleniem i udaniem? — Jedną tylko Konstancya pozostawała czysta, bez skazy, ale była już tylko widmem, cieniem niknącym. Tracił ją na zawsze, przypominał ją sobie już tylko jako postać idealną, lub gorzej jeszcze, jako biedną panienkę której serce zdruzgotał... Cofając się myślą w błogie czasy pobytu na wsi, wyobrażał sobie, że przebywał wówczas w krainach niebiańskich i że nagle spadł z nich w nędzny padół uciech ziemskich.

Potem myśli jego zmieniały się. Po co widzieć wszystko w barwach posępnych? Po co myśleć tylko o obietnicach i przysięgach składanych Konstancyi, o zwycięstwie odniesionem nad niedowierzającą panną, którą jakby przemocą wyniósł wyżej nad wszelkie jej nadzieje a teraz wtrącał w przepaść bóleści sroższej nad wszelkie wyrazy? Po co rumienić się zwracając oczy ku przeszłości, zamiast myśleć o przyszłych rozkoszach? Po co trapić się samotnością terażniejszej godziny, kiedy po niej nastąpi życie pełne namiętnego szału? Jeżeli często myślał o szczęśliwości spokojnej, azali czasami nie myślał także o uciechach walki i o upojeniu życia gwałtownie szczęśliwego? Czyż nie mogło być, że Konstancya miała słuszność, gdy tyle powątpiewała... wszakże ona zawsze była niedowierzającą? A może teraz, w dobroci swojej, przyjmie z rezygnacją opuszczenie? Przecież sama tysiącne razy powtarzała że nie przyjmie jego miłości, jeśli by w zamian miał cierpieć, lub ponieść ofiarę choćby najmniejszą? Wszakże sam teraz spostrzega, że jeszcze dotychczas nie żył prawdziwie i że nie znał całej pełni uciech życia? W Konstan-

cyi tracił pannę skromną i kochającą, lękającą się życia a tak w nim zakochaną, że przed ślubem już bała się utracić go później, pannę szlachetną ale bojaźliwą, gdy natomiast łączył się z kobietą która znając wszystko, wracała do niego, która oddawała mu wszystko nic w zamian nie żądając, która była mu wzajemną, chociaż wiedziała, że musi go stracić, która nie nakładała mu żadnych warunków, która wiedziała że ma rywalkę i już chciała się dla niej poświęcić, która wyzywała wszelkie niebezpieczeństwa przyszłości i nie znała bojaźni, i bez troski, wesoła, szalona, słuchała tylko głosu namiętności!

I wyobraźnia młodego człowieka zapalała się, spojrzenia jego zagłębiały się w nowe życie, życie pełne przygód i różności, które w danych chwilach olśniewa. Później jednak, gdy wyobraźnia znużyła się tem błakaniem po manowcach, nagle zawracał ku przeszłości, i wyborne argumenty którymi się pocieszał w zuchwałem postanowieniu, wydawały mu się śmiesznymi sofizmatami; znękanę serce cierpiało; wyrzuty sumienia gryzły go coraz srożej, i wtedy wszystko co przed chwilą chwalił, wydało mu się fałszem.

Nad wszystkim atoli górowało uczucie zdumienia. Nie spodzianie, w ciągu kilku godzin zaszła w losach jego zmiana, wprawiała go w osłupienie. A taka była niepewność wszech rzeczy, taka wątpliwość ze wszech stron go otaczała, taki smutek go ogarniał, że wszystko go dręczyło i że nienawidził samego siebie; chciałby uciec przed własnymi myślami. Pożądany sen jednak nie przychodził.

I ze smntkiem myślał że nie kochał jeszcze prawdziwie, że gdyby czuł miłość potężną i prawdziwą, toby jej nie

dzielił między dwie kobiety, bo takie dwa sprzeczne uczucia dowodzą tylko braku prawdziwego światła.

Po chwili znużony, bezmyślnie przypatrywał się kwiatom malowanym na obiciu, sprzętom, zegarowi, książkom i mapom, jakby szukał jakiej rzeczy której jutro może zapotrzebować, i tak wpatrując się bezmyślnie, zapomniał o wszystkim i mimowolnie się uśmiechał. Po tem zniemacka wszystkie dawnie myśli tłumnie wracały do głowy i znowu go trapiły.

Więc to prawda? Czy podobna! Niekiedy wątpił. Więc naprawdę opuszcza tę która mu ukazała się jak anioł opiekuńczy, tę której tak wyrzucał jej niedowierzanie? Więc w istocie, biegnie teraz na oślep w życie niepewne i niebezpieczne? Tak, to nie sen, to rzeczywistość.

Nakoniec nad rankiem zasnął snem niespokojnym i przerywanym; obudził się późno gdy już promienie słońca oświeciły przedmioty którym podczas długiej nocy tak długo się przypatrywał, a wraz ze światłem wróciły myśli jaśniejsze, nieco jeszcze mgłą senną pokryte. Teraz był tak niezdecydowany, iż prawie go radowała myśl, że za późno już byłoby się cofać. Kości rzucone, los wybrany, żałować byłoby poniewczasie, a tak mu się nie chciało zastanawiać, że z zamkniętymi oczyma powierzał się losom, które miały go prowadzić do szczęścia lub też do przepaści.

Dzień był piękny, promienie słońca przedzierały się przez firanki; uważał to za dobrą wróżbę. Smutne myśli są w nocy jeszcze smutniejsze, a walki wewnętrzne jeszcze boleśniesz.

Powóz wcześniej zajechał. Ryszard spiesznie wsiadł i wskazał woźnicy mieszkanie hrabiny. Udając się na ulicę św. Anny, woźnica wybrał krótszą drogę i przeje-

chał przez ulicę gdzie było mieszkanie państwa Gerardi. Ta drobnostka była prawdziwą męczarnią dla Ryszarda. Nie mógł nie spojrzeć poraz ostatni na okna pokoju Konstancyi, i westchnął głęboko; było to jednak wrażenie chwilowe. Ryszard czuł, że jak tylko zobaczy hrabinę, zaraz zapomni o wszystkim i ochoczo rzuci się w nowe życie. I dla dodania sobie odwagi, uparcie trzymał się tej myśli. I w istocie pełen był pozornej odwagi. Ktoby go widział w tej chwili, aniby przypuszczał, że w sercu jego staczała się jeszcze walka; zewnątrz był spokojny, prawie wesół. Turkot powozu świadczący że projekt niemożliwy już jest na drodze wykonania, i że cofać się już nie można, odurzał go. Myśli mąciły się a Ryszard usiłował myśleć jedynie o tej, do której teraz spieszenie podążał.

Powóz zatrzymał się w chwili gdy tego najmniej Ryszard oczekiwał. Serce biło mu gwałtownie, gdy stanął przy drzwiach mieszkania hrabiny i zadzwonił. Uplętnęła minuta która wydała mu się wiekiem; zadzwonił raz drugi, potem raz trzeci i czwarty; nikt nie otwierał. Zapewne wyszła na miasto, ale po co? Zszedł ze schodów, i spotkał się z Klementyrą.

— Gdzie hrabina? spytał niespokojnie.

— A! Panie margrabiolo! Pani hrabina wyjechała dziś rano o piątej. Ja mam jechać za panią dziś wieczór. Pani hrabina zostawiła ten list i kazała oddać go panu margrabiemu jak tylko przyjdzie.

Ryszard wziął list, zerwał pieczętkę i czytał:

„Nie ma rady, muszę mieć odwagę na nas obojga, skoro pan jej nie masz. Jak mogłeś uwierzyć, że wyrzeknę się poświęcenia dla ciebie i że uczynię cię nieszczęśliwym przykuwając do mojego losu? Idź pan tam, gdzie cię prawdziwe szczęście oczekuje. Zachowaj mi tylko mały kącik

w swem sercu. Udałam wczoraj wieczór, że nie mogę się z tobą rozstać, bo chciałam wiedzieć, czy też gotów byłbyś zgubić się dla mnie na zawsze... Ach, jak ci mężczyźni są słabi! Byłby to jednak bardzo nędzny tryumf mojej próżności niewieściej, jeślibym nie odniosła nad sobą samą zwycięstwa, które daje mi siłę odjechać bez ciebie. W ten sposób pamięć moja pozostanie czystą. Owe dni przepędzone razem zdają mi się być ostatnimi w mojem życiu, ale teraz mogę powiedzieć: żyłam. Nie troszcz się pan o to co się ze mną stanie. Nie zupełnie jestem nieszczęśliwą, bo mi pozostaje radość ze spełnienia mojej powinności i nadzieja, że będziesz szczęśliwym. Nie życzę źle twojej narzeczonej panie Ryszardzie; ona jest godniejszą ciebie niż ja, nie wystawiajże jej na cierpienia. Nie staraj, cię widzieć ze mną, byłoby to daremne. Podziękuj wujowi za to co dla mnie czynił, i prosz żeby się już nie trudził. Bywaj zdrów, bywaj zdrów panie Ryszardzie. Zdaleka, możesz mieć trochę dla mnie przyjaźni. Kochałam.“

Ryta.“

ROZDZIAŁ IV.

Tego samego wieczoru Ryszard siedział naprzeciw Konstancyi (bladej i nieco smutnej jaką była od pewnego czasu) w małym saloniku obok pracowni pana Antoniego, gdzie zwykle przepędzał z nią kilka godzin dziennie. Patrząc na jego twarz nie możnaby odgadnąć, że przed kilka godzinami w duszy jego staczała się burzliwa walka. Ach,

gdyby Konstancya mogła przypuścić, że niedawno gotów był ją porzucić, że już siedział w powozie który miał go unieść daleko od niej, że w zaślepieniu namiętności byłby ją niezawodnie opuścił, i że zawdzięczała jedynie wspaniałości innej kobiety to, że nie była dla tejże kobiety poświęconą!... Konstancya nie wiedziała o tem, i patrzyła na niego smutnie ale ze słodyczą.

Jemu zdawało się teraz, że wszystko było snem co zaszło w ciągu dwudziestu czterech godzin, i kolejno wątpił o rzeczywistości burzy przebytej i o bezpieczeństwie portu do którego zawinął. Był zdumiony i olśniony; ze wzruszeniem podziwiał postępek Ryty i nie umiał z własnych uczuć zdać sobie sprawy; ale w głębi serca mimowolnie czuł pogodne zadowolenie. A jednak rozczulał się myśląc o hrabinie i prawie ją uwielbiał. Stracona była dla niego szalona namiętność, ale za to ocalony był od niebezpieczeństwa.

Po przeczytaniu listu pożegnalnego hrabiny, uciszyły się w nim burze i spokój niezwykły zwolna wrócił do jego serca. Było to zakończenie nieprzewidziane a dobre. Powrócił do domu i zamknął się w swoim pokoju; czuł potrzebę samotności. Chciał uporządkować nieco myśli które snuły mu się w głowie bezładnie; ale usiłowania były daremne: wszystko pozostało w zamęcie, prócz pewności, że hrabina postąpiła bardzo szlachetnie i że Konstancya znowu stawała się jedynym celem jego istnienia.

Kilkakrotnie odczytał list, który zmienił jego los w chwili gdy tego najmniej oczekiwał; otworzył szkatułkę w której były zachowane inne listy hrabiny i miał go do nich dołączyć. Jak zwykle jednak bywa w podobnych razach, wziął jeden z dawniejszych listów, potem drugi i trzeci i mimowiednie czytał chciwie wszystkie i wskrzeszał w pa-

mięci minione godziny. Czytanie to miało być ostatniem pożegnaniem tego z czem się rozstawał na zawsze, i gdy je skończył i zamknął szkatułkę, zdawało mu się że po-
grzeżał przeszłość.

Była to godzina smutna, jak wszystkie w których wskrzeszamy dawne wspomnienia, i witamy rzeczy co już wrócić nie mają.

Teraz jednak czuł że się stał innym zgoła człowiekiem, niż był przed kilką godzinami. Wszelka niepewność zniknęła, wychodził z przesilenia, wprawdzie przy cudzej pomocy i pozostawał mu w sercu smutek, ale był pogodny, wiedział odtąd jaką przebiegać ma drogę, był pocieszony i olśniony szczęśliwością która znowu wschodziła na widnokręgu jego życia. Że użyjem nieco prozaicznego porównania, Ryszard był w położeniu człowieka, co po ciężkiej chorobie zaczyna przychodzić do zdrowia.

Od chwili gdy nie mógł oprzeć się nowej namiętności dla Ryty, i przez cały czas w którym trwała ta słodkogorzka bitwa, tak bezmyślnie zakończona, codziennie, jak się powiedziało, widywał Konstancję, i nawet przedłużał swoje odwiedziny z obawy niewzbudzenia podejrzeń. Jeżeli jednak miał dość mocy duszy, by zewnątrz żyć tem podwójnem a nużącym życiem, to w rzeczy samej wyęźzał swoje wysilenia w jednym tylko kierunku, to jest żeby siebie niczem nie zdradzić; ale nie dość zwracał uwagi na Konstancję.

Teraz atoli, gdy jego myśli znowu wyłącznie ku niej się zwróciły, musiał spostrzedz smutek jej spojrzeń i dziwną małomówność. Uderzyło go to tembardziej teraz, gdyż poprzednio tego nie spostrzegał.

I kiedy znowu wieczorem siedział naprzeciw niej, spokojny i zadowolony jakby nic nie zaszło, i bacznie się jej

przypatrywał, nagle spostrzegł ze wzruszeniem, że twarz jej była znacznie bledszą. Odkrycie to tak go zaniepokoiło, iż jasno poznał jak mocno jeszcze ją kochał, pomimo innej namiętności która go popchnęła na bezdroża. I tak boleśnie go to dotknęło, tak żywo się zmartwił tą zmianą w dziewicy co odtąd miała sama wyłącznie znowu panować w jego sercu, że postanowił wypytać ją otwarcie i prosić o objaśnienie. Tego wieczoru było to trudnem, bo oprócz pani Gerardi i pana Antoniego, było jeszcze kilku znajomych, nie licząc Michasia który nie mógł dwóch minut usiedzieć spokojnie.

Inna jeszcze okoliczność na którą od pewnego czasu nie zważał, teraz nagle zajaśniała mu w umyśle jak błyskawica: spostrzegł i cofając się wstecz myślą upewnił się, że Konstancya starannie unikała być z nim sam na sam. I tego wieczoru także, jak zauważył, nieznacznie i bez pokazania tego, tak sobie postępowała, żeby nie mógł się do niej zbliżyć. A jednak udało mu się to. Ona wyszła na chwilę z bawialnego pokoju; korzystając z tego, stanął przy drzwiach, i gdy wróciła zapytał na progu:

— Panno Konstancyo, co pani jest?

— Mnie? Nic zgoła.

— O, niech pani powie prawdę! Od pewnego już czasu spostrzegam zmianę w wyrazie twarzy pani i w obejściu ze mną. A ta zmiana zaszła od czasu przyjazdu ze wsi. Prócz tego, jesteś pani blada. Sprawia mi to wielką przykrość i boli mnie tembardziej, że spostrzegam iż pani nie pokłada we mnie zaufania. Niechże pani powie otwarcie, co jej jest.

— Upewniam cię panie Ryszardzie, że się mylisz. Jeżeli blada, to doprawdy nie wiem dla czego. Zresztą wcale się nie zmieniłam.

— I kochasz mię pani jeszcze?

Dziewica podniosła ku niemu wielkie oczy pełne wyrazu, a to spojrzenie było odpowiedzią. Jednakże był głębok i smutek w tem spojrzeniu.

— Wybacz mi pani, mówił dalej Ryszard. Nie słusznie powątpiewałem, czy pani miękochasz; ale ja sam zbyt panię kocham, żebym nie miał spostrzedz, iż coś niezwykłego panią zajmuje. Panno Konstancyo, proszę, cheiej mi wszystko powiedzieć.

Dźwięk jego głosu wyrażał wzruszenie. Dziewica nieco zakłopotana, odpowiedziała:

— Porzuć pan te myśli, a przynajmniej pozwól mi milczeć. Widzisz pan zresztą, że nie podobna mi teraz odpowiedzieć...

Słowa te wstrząsnęły Ryszarda.

— A więc teraz już pani nie zaprzecza! zawołał. Wyznaj pani, że cię coś zasmuca. O, proszę, panno Konstancyo, powiedz zaraz!

— Nie mogę teraz, panie Ryszardzie, odpowiedziała tonem łagodnym ale stanowczym.

— O! Ależ ta sroga niepewność!

— Przyjdź pan jutro wcześniej....

I z temi słowy dziewczyna odeszła i zbliżyła się do Michaśia, który już parę razy podczas tej krótkiej rozmowy głośno ją o coś pytał.

Ryszard nie zasnął i tej nocy; ale jak różnemi były pobudki bezsenności! W krótkim przeciągu czasu umysł jego zmienił się bardziej jeszcze niż okoliczności zewnętrzne. Wszystkie wahania się i niepewności postanowień niknęły w obec chęci dowiedzenia się, dla czego Konstancyn jest smutną. Miłość ku niej, trochę uspijona w bezpieczeństwie, teraz budziła się w powątpiewaniu.

Nazajutrz pobiegł do mieszkania państwa Gerardi jak tylko można było najwcześniej. Pani Gerardi trochę chora pozostała w swoim pokoju; pan Antoni był na wychodnem, podał mu rękę, powiedział słów kilka i wyszedł. Ryszard pozostał sam z Konstancyą.

Dziewica siedziała przy stoliku na którym leżały książki i rozpoczęta robota włóczkowa, ale nic nie robiła. Jej ręce, zawsze tak zajęte, opadły bezwładnie na suknię. Może tak już od kilku godzin siedziała nieruchoma i zamysłona. Wszystko w jej postaci wyrażało osłabienie i znużenie, równie przykre jak znękanie duszy; a bardziej niż w całej postaci wyrażało się to w rysach jej twarzy, w spojrzeniu zagasłem i jakby wewnątrz siebie zwróconem.

— Przepraszam panie Ryszardzie, za to że jestem tak smutną, rzekła gdy usiadł; i proszę cię, nie wypytuj o powody. Bywają chwile smutku niewytłumaczonego.

— Zapewne, odpowiedział Ryszard, ale aż nadto się lękam, że nie tego rodzaju jest pani smutek. Widzę, że pani cierpisz, i zaklinam abys mi powiedziała co cię tak martwi. . . .

— Mówiłeś pan wczoraj, że spostrzegłeś to już od pewnego czasu, od naszego wyjazdu z Mantino?

— Tak, już wtedy.

— A jednak zapytałeś mię pan dopiero wczoraj.

Ryszard zarumienił się nieco, ale ona tego nie spostrzegła i dalej mówiła:

— Mógłbyś więc pan dać mi jeszcze trochę spokoju i nie wypytywać...

— Nie, nie mogę dłużej znosić takiej niepewności, chcę żebyś pani mi powiedziała wszystko. Panno Konstancyo, gdybyś wiedziała...

— Ależ przyjacielu mój, nie oskarżaj mię tak skwapliwie o brak zaufania. Miej trochę cierpliwości. Skoro spostrzegłeś, że nie jestem tak wesołą, jakbym być powinna, więc nie zaprzeczam; owszem powiem jeszcze, że oprócz niewytłumaczonego smutku który niekiedy mię ogarnia, mam jeszcze różne powody nie być wesołą. Między innymi zdrowie mamy zostawia wiele do życzenia, i doprawdy zaczynam się niepokoić. Przytem wiadomo panu, że jestem przesadną i że wierzę w przeczucia: owoż teraz widzę w ciemnych barwach wszystko, nawet naszą przyszłość. Proszę cię, panie Ryszardzie, nie chciej mię już więcej wypytywać.

— O, panno Konstancyo, słowa twoje zamiast zmniejszać, powiększają moją obawę! Nie taką byłaś pani w Mantino. Powiedz, czy pamiętasz?... Czy przypominasz sobie nasze przechadzki, nasze długie rozmowy przy zachodzącem słońcu? Wówczas doprawdy zdawało mi się że pani mię tak kochasz, jak ja cię Kocham...

Dziewica spojrzała na niego oczyma pełnemi szczerości i odparła poważnie:

— O mnie nie powinienes pan powątpiewać.

Potem dodała smutniej:

— I nie zdaje ci się, panie Ryszardzie, że czas nieobliczony upłynął od naszego wyjazdu z Mantino?... I nie zdaje ci cię, że zaszła jakaś nieopisana ale rzeczywista zmiana? Czy sądzisz, że owe czasy i owa szczęśliwość mogą powrócić? Czy nie widzisz, że między nami zaszła jakaś różnica której nie umiem określić? Ja jednak nie zmieniłam się, tylko pobyt w stolicy mi ciąży. Te mury miejskie zasmucają mię.

Młody człowiek był zmieszany temi słowy, i prawie nie śmiał spojrzeć w twarz dziewczicy. Wyrzuty sumienia sro-

dze go dręczyły; nigdy jeszcze tak jej nie kochał jak w tej chwili. I ujmując jej rękę i zbliżając się do niej, rzekł głosem niepewnym i drżącym:

— O, panno Konstancyo, powiedz co mam czynić aby ten uśmiech piękny, anielski, który ty jedna posiadasz, powrócił i rozjaśnił twarz twoją! Niechaj rzeczy zewnętrzne tak cię nie smucają; pomyśl, droga pani, że piękne dni w Mantino powrócą, i że czeka nas szczęśliwość nierównie większa od tej jakiej doznawaliśmy w upłynionych miesiącach! Gdybyś pani wiedziała jak mie boli patrzeć na twój smutek; chciałbym przynajmniej podzielać go, skoro nie może być inaczej; ale nie, wolę być uradowanym, lecz potrzeba także abyś i pani taką była, abyś rozmawiała wesoło jak dawniej, abyś myślała ze mną o przyszłości która nas czeka, a wtedy byłbym nad wszelki wyraz uradowanym.

Kiedy mówił te słowa, dziewica patrzyła na niego i spojrzenie jej łagodniało; patrzyła mu bacznie w oczy i oddech jej stał się trochę niespokojnym. I ścisnęła jego rękę. On pochylił głowę, i pocałunkami okrywał jej rączki. Wyrzuty sumienia szarpały go okrutnie.

Kiedy jednak podniósł głowę, w oczach jej które zdawały się być roz pogodzone, dojrzał łzy, łzy mimowolne a gorące.

Dziewica nie pozwoliła mu mówić.

— Panie Ryszardzie, proszę cię odejść już, zostaw mię samą. Gdybyś wiedział jak cierpię! Przemienie to, bo nie ma żadnego powodu, o, przemienie prędko. Wkrótce powiem ci wszystko... teraz nie podobna. O, panie Ryszardzie, jeżeli mię kochasz jak powiadasz, to czekaj, nie wypytuj.

Ryszard umilkł a dziewica zwyciężona wzruszeniem, zakryła twarz rękami i rzewnie zapłakała.

ROZDZIAŁ V.

Ktoby zobaczył nazajutrz Ryszarda, byłby osłupiał na jego widok. Był bardzo blady, i rysy twarzy miał zmienione. Siedząc przy kominkowym ogniu zbierał myśli które i tej nocy spać mu nie dały, i daremnie usiłował uspokoić swój umysł. Zmuszony był pożegnać Konstancję nie dowiedziawszy się o przyczynie jej łez, bo tak stanowczo kazała mu odejść iż musiał być posłusznym. Nie mógł domyśleć się powodu jej boleści; pragnął i zarazem bał się go poznać. I dla czego tak uparcie zachowywała milczenie? Gdzie się podziało zaufanie, gdzie otwartość dawniejsza? Dlaczego tak gorąco prosiła go żeby czekał, dla czego obiecywała wszystko wkrótce mu wyznać? Cóż więc takiego zaszło?

I z gorączkową niecierpliwością wyglądał chwili, gdy będzie mógł pójść do niej, i przyrzekał sobie natarczywiej nalegać, nie zważać na prośby i koniecznie dowiedzieć się o wszystkim. I postanowił wydrzeć jej w tym dniu tajemnicę jej płaczu.

Zdawało się jednak że czas nie chce upływać. Ze dwadzieścia razy Ryszard patrzył na zegarek a wciąż jeszcze nie zbliżała się godzina, w której mógł pójść do państwa Gerardi. W końcu nie zdolny już dłużej wytrzymać męczarni czekania, zerwał się z krzesła i wziął za kapelusz.

Ale tejże chwili wszedł pokojowiec i milcząc podał mu list. Ryszard wziął z roztargnieniem, spojrzął, i zbladł jeszcze bardziej. Był to list od Konstancyi. Zerwawszy pieczętkę czytał:

„Zamiarem moim było milczeć jak najdłużej. Nie miałam jednak siły i boleść moja zdradziła się przed tobą, panie Ryszardzie. Nie chciałam jednak i nie mogłam wyznać ci jej powodu. Chciałam czekać... sama nie wiem dla czego. Spodziewałam się, że kiedyś, później wszystko zdołam potrosze opowiedzieć. Po moim płaczu wczorajszym trzeba mówić; ale w obecności twojej, panie Ryszardzie, tracę odwagę. Dla tego po długiej walce biorę pióro by powiedzieć przyczynę mojej boleści. A uczynię to w kilku wyrazach: znam doskonale pańskie życie w ostatnich czasach, wiem wszystko coś pan tak zręcznie usiłował ukryć przedemną.

„Znając mię, z łatwością zrozumiesz pan że to nie jest boleść przemijająca. Nie, boleść ta pozostanie nawet wówczas gdy zdołam znaleźć spokojność. Ale przyjacielu mój, nie sądź że cię oskarżam; żadne uczucie nieprzyjazne nie weszło do mojej duszy i nigdy nie wejdzie. Będę nawet szczerą, jak byłam zawsze, nic przed tobą nie utaję, i wiem, że to serce, które ci oddałam, jest jeszcze twoje, i twojem na zawsze pozostanie. Z wyjątkiem uczucia dla ciebie, nie mogę znać innej miłości prócz przywiązania do mojej rodziny. Nic więcej. Zresztą wszystko między nami skończone, nie mogę zostać pańską żoną, i myślę że lepiej będzie gdy się już nie zobaczymy. Nie sądź pan, że te słowa podyktowało mi uniesienie chwilowe; są one owocem długiego rozmyślenia.

„Nigdy się pan nie dowiesz, ile cierpiałam od chwili gdy moje trwogi (niesprawiedliwe, jak pan utrzymywałeś)

okazały się aż nadto uzasadnionem, i to tak nagle, wprzód nim oczekiwać mogłam! Nie opowiem także, com czuła w duszy owych dni, gdym tak źle udawała spokojność, a pan wcale tego nie spostrzegałeś, tak byłeś przy mnie roztargnionym.

„Modliłam się prosząc Boga o trochę spokoju, i moja modlitwa jest już prawie wysłuchaną. Piszę do pana spokojnie. List ten jest pożegnaniem. Zdrowie mamy wcale się nie polepsza i oddawna już lekarze doradzają klimat cieplejszy. Teraz nic już nie przeszkadza usłuchaniu tej rady, i wkrótce zapewne pojedziemy. Jeżeli pan chcesz spełnić ostatnią moją prośbę, to nie staraj się widzieć ze mną.

„Raz jeszcze żegnam pana; nie miej wyrzutów sumienia i pamiętaj, że myśli moje wszędy towarzyszyć ci będą.

„*Konstancya.*“

Ryszardowi się zdało, gdy czytał ten list, że tysiące mieczów przeszywa mu serce. Przeczytał raz jeszcze, i oczy napełniły się łzami. Pierwszą myślą jego było nie usłuchać prośby Konstancyi, i już chciał biedz do niej, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pan Antoni.

Malarz rzadko bywał u margrabi, a teraz widocznem było z jego twarzy, że przychodził w jakiejś sprawie niezwykłej i że był mocno zmieszany.

— A, dobrze żeś pan przyszedł! zawołał Ryszard zbliżywszy się do niego i ściskając mu obie ręce. Zapewne pan wiesz o wszystkim. Właśnie otrzymałem list od panny Konstancyi. List ten niweczy wszystkie moje nadzieje, i czyni mię najnieszczęśliwszym z ludzi. O, powiedz pan, że jej postanowienie nie jest nieodwołalnem!...

— Uspokoj się, kochany panie Salerio. Potrzeba żebyś mię wysłuchał chłodno, a mam mówić długo.

— Dobrze, dobrze, będę spokojny, już nawet jestem, byle mi została odrobina nadziei. Przysięgam panu, że nie mogę żyć bez niej. Siadajże pan, słucham z uwagą. Mów pan wszystko.

— Powiem wszystko. Wiadomo panu, że kocham Konstancję jak własną córkę; ale wiedz także, że mam wysoki dla niej szacunek, że bynajmniej nie chciałem wpływać na nią, ani nawet jej doradzać. Pragnę atoli żeby była szczęśliwą, o ile to być może. Sądzę przeto...

— Za pozwoleniem, przepraszam że przerywam, żywo wtrącił Ryszard. Przedewszystkiem muszę panu powiedzieć, że czuję się bardzo winnym i że mocno żałowałem za moją lekkomyślność. O, gdyby można cofnąć się wstecz o cztery miesiące! Odrazu poznałem całą zdrożność mego postępowania. Przysięgam jednak panu, że zawsze kocham pannę Konstancję, że owa zdrożność była zaślepieniem chwilowem, upojeniem z którego teraz boleśnie się budzę. Przysięgam, że kara sroższą jest od winy, że zrobię wszystko żeby zasłużyć jeszcze na miłość panny Konstancji i być jej godnym, i że przez całe życie starać się będę o to, żeby nigdy nie miała powodu do takich cierpień jak teraz. Zkąd się jednak dowiedziała? Kto jej powiedział? Na miłość Boską, kto był tak nierozważny, że wykrył przed nią to o czem nigdy nie powinna była wiedzieć, i co na zawsze pozostałoby pogrzebione w przeszłości?...

— Ja powiedziałem, spokojnie odrzekł malarz.

Na twarzy Ryszarda ukazał się mocny wyraz bolesnego zdumienia. Młody człowiek pozostał przez chwilę nieruchomy, jakby piorunem rażony; potem nagle zaśmiał się szyderczo i zawołał z niegrzeczną ironią:

— A toś się pan ślicznie spisał!

— Uczyniłem to co uważałem za moją powinność. Posłuchaj mię pan cierpliwie. Powtarzam raz jeszcze: kocham Konstancyę jak własną córkę, i zawsze czynić będę to, co według mego rozumienia czynić powinienem dla jej dobra. Nie możesz pan powiedzieć, żem się mieszał w sprawę was obojga. Zostawiłem jej zupełną wolność sądzenia o panu podług własnego rozumu, i nie jej o panu nie mówiłem aż do chwili, gdy mi się zwierzyła, że się kochacie wzajem. Współcześnie wyznała mi, że się lęka o przyszłość i że nie jest pewną stałości pana. Gdy jednak później powiedziała mi, żeś pan zdołał ją przekonać, i że zgodziła się zostać pańską żoną, pod warunkiem, że się poddasz próbie, a pan zgodziłeś się czekać—wówczas pochwaliłem to i przemawiałem na pańską korzyść. Ale pan obiecałeś Konstancy, że będziesz szczerym i że otwarcie jej powiesz, jeśli zajdzie jaka zmiana w twoich usposobieniach: czy dotrzymałeś obietnicy?

— Ależ miły Boże! Pojmujesz pan przecie, że takie rzeczy...

— Pozwól mi pan mówić dalej. Nie wiesz pan jeszcze o jednej rzeczy: ja także dałem jej obietnicę; przyrzekłem że ją ostrzegę o niebezpieczeństwie gdy jakie zobaczę, i że w każdej okoliczności powiem jej wszystko otwarcie i nic nie przemilczę. Nie mogłem nie dotrzymać tej obietnicy.

— A więc ja z kolei powiem panu otwarcie, żeś bardzo źle postąpił! gorąco zawołał Ryszard. Bo i co dobrego uczyniłeś? A, kochany panie Antoni, nie jesteś chyba z tego świata! Ja pierwszy ganię mój postępek i gorzko zań żałuję i zawsze wyrzucać go sobie będę; ale powiedz pan otwarcie, czy dla tego żem uległ chwilowemu obłędowi i zrobił ostatnie młodości szaleństwo, czyż dla tego nie

mogę już uszczęśliwić panny Konstancyi, być dla niej wszystkim gdy moją żoną zostanie i kochać jej głęboko? Nie widziszże pan jak cierpię, jak ją kocham?...

— Tak, pojmuję to i wierzę temu co pan mówisz. Zapewniam cię, kochany Salerio, że zawsze miałem dla ciebie wiele sympatyi, i że jeszcze ją mam, chociaż nie umiałeś dotrzymać danej obietnicy. Gotów jestem dopomóc ci w tem co zechcesz probować.

— Czy doprawdy? zawołał Ryszard nagle udobruchany. Byłżebyś pan tak dobry i starał się odwieść ją od powziętego postanowienia? O! Zrób to, przysięgam ci że ją uszczęśliwię!

— I mogę panu wierzyć?

— Możesz, powinienes! Niewielka moja zasługa, że żałuję za błąd popełniony, bo już jestem aż nadto ukaranym. Nie mogę kochać innej kobiety jak tylko pannę Konstancyę.

— Więc dobrze, zobaczymy co się da zrobić.

— O, dzięki, dzięki! Będę wdzięcznym panu do grobowej deski! Idźmy więc; pomożesz mi być jej nieposłusznym, zaprowadzisz mię do niej, ja padnę na kolana, i nie oderwę się od jej nóg, dopóki przemawiać za mną będziesz.

— Powoli, powoli, kochany panie Salerio! Powiedziałem, że spróbuję odwieść ją od powziętego postanowienia, obawiam się jednak czy usiłowania moje nie będą daremne. Wprawdzie lekarze zalecili mojej bratowej udać się do cieplejszego klimatu i zapewne wkrótce wybierzemy się w podróż; tymczasem jednak udajem się na kilka dni na wieś dla zrobienia potrzebnych przygotowań.

— Więc jadę do Mantino.

— Dobrze, ale zaczekaj pan, aż sam po ciebie przyjdę. Lepiej niech tak kilka dni upłynie. Gdybyś widział jak cierpi biedaczka!

— Zrobię wszystko co mi pan poradzisz, oddaję się zupełnie w twoje ręce, ale zaklinam, przybywaj jak najprędzej. Nieznośna rzecz czekać.

Gdy pan Antoni odszedł, Ryszard długo pozostał nieruchomy na krześle przy kominku i pogrążony w myślach. Czasami machinalnie poprawiał ogień i patrzył jak głośnie rozpadały się i gasły.

I ogarnął go smutek głęboki. Usiłował utworzyć sobie wyobrażenie o przyszłości, i ta przyszłość ukazała mu się ciemna i ponura. O, jakże się oddalił od szczęśliwości która niedawno jeszcze była tak bliską niego, że wyciągając rękę mógłby ją, że tak powiemy, pochwycić! Teraz wszystko znów podlegało wątpliwości. Miłość jego dla Konstancyi nie była taką jak dawniej; była teraz zamącana i zwalczana, ale napełniała mu serce czułością prawie chorobliwą, i gdy pomyślał o złem które uczynił i o cierpieniach Konstancyi, czuł boleść dojmującą. Cóżby dał za to, żeby zawsze był pozostał w Mantino!

Teraz należało tam wrócić. Tam miał się los jego rozstrzygnąć. Wszystko trzeba było rozpoczynać na nowo, i niejako na nowo serce Konstancyi zdobywać. Jeżeli tyle czasu potrzebował na rozproszenie jej obaw, jakże trudniej będzie mu usprawiedliwić się z rzeczywistego upadku i przekonać Konstancyę o swojej miłości, chociaż się jej przeniemyśli? Jak jej wytłumaczyć uczucia, których w czystości swej duszy dziewiczej zrozumieć nie mogła?

Kiedy nakoniec zdecydował się wyjść na miasto, udał się do kuzyna Andrzeja. I opowiedział mu wszystko i prosił o radę i pomoc. Hrabia powiedział mu wszystko co

w takim razie może powiedzieć przyjaciel prawdziwy, ale z pewnością nie mógł mu wrócić spokojności straconej z własnej winy.

Nazajutrz koło południa Ryszard pojechał do Mantino. Lubo dzień był bardzo chłodny, pojechał w powozie otwartym, czuł potrzebę świeżego powietrza. Niebo było szare, ołowiane; ostry wiatr smagał go po twarzy. Owinąwszy się płaszczem Ryszard smutne wodził spojrzenia po posępnym krajobrazie i zwolna zapadał w półsenną zadumę, do której ruch powozu łatwo usposabia. Jednostajny brzęk dzwonek przywiązanych do szyi koni pomagał do utrzymywania go w stanie w półletargicznym. I słuchał machinalnie tych dźwięków.

Teraz już prawie nie myślał; ale mimowolnie obrazy osób które zajmowały najwięcej miejsca w jego życiu, przesuwały mu się przed wyobraźnią. Głównie Konstancya ciągle mu stała w oczach, smutna, jak ją widział niedawno, lub co gorsza jeszcze, jak ją wyobrażał sobie w tej chwili. Potem widział panię Gerardi, potem wuja Vanelli i hrabinę, potem kuzyna Andrzeja i słyszał jeszcze jego rady. Gdy pomyślał o Konstancyi, czuł się winnym, gdy pomyślał o hrabinie, upokarzało go uczucie niższości... W którąkolwiek obrócił się stronę, smutek jego wzrastał.

Droga była prosta, jednostajna. Po obu stronach rzędy drzew, albo raczej skieletów drzew z nagimi gałęziami czarno zarysowanymi na szarem tle powietrza. Droga była pusta; kiedy niekiedy tylko widać było staruszkę która szła zgarbiona niosąc na plecach pęk zebranego chrustu, lub przed ubogą lepianką dwoje dzieci bawiące się lepieniem pigulek ze śniegu napędzonego wiatrem w kąć ściany. Jak daleko wzrok mógł dosięgnąć, wszędy pola jednostajnie śniegiem pokryte. Czasami droga skręcała się

i powóz obierał inny kierunek, ale krajobraz ten sam pozostawał.

Ryszard zapadał coraz bardziej w ów stan pozornej spokojności, który dość niewłaściwie i tylko w braku lepszego wyrażenia nazwalibyśmy „niemyśleniem o niczem.“

W tem dostrzegł w dali gromadkę drzew które często widywał zielone i bujnym pokryte liściem, a teraz były suche i nagie. Drzewa te spotykał w Mantino po drodze ze dworu do domu pani Gerardi.

I nagle się wstrząsnął: wszystkie myśli uśpione naraz się zbudziły. I uczuł dziwne wzruszenie, i na płacz mu się zbierało.

— Hej! zawołał na woźnicę, nie jedźcie głównym traktem, skręćcie w boczną drogę.

— Dobrze, jasnie panie; ale ta droga nierówna, zasypa-na śniegiem.

— Nic nieszkodzi; za to krótsza.

Powóz skręcił w bok. Czytelnik zapewne sobie przypomina, że z traktu widać było dom pani Gerardi. Ryszard nie chciał tamtędy przejeżdżać. Wzruszenie jakiego dawniej doznawał na widok tego domu było zgoła inne niż to któreby teraz uczuł. Różnica była większą jeszcze niż w widoku krajobrazu. Nadzieja ustąpiła z jego serca, jak zieloność zniknęła z drzew. Mroźny wicher smagał go po twarzy, ale on czuł zimno nie z tego tylko powodu.

I im bardziej się zbliżał do domu, tem smutniejszym wydawało się położenie obecne. Człł gorzki niesmak do wszystkich rzeczy i pogardę dla samego siebie. Wszyscy my tworzym sobie w życiu ideały, i zawsze miewamy godziny głębokiego smutku, gdy się pokaże, że coraz bardziej oddalamy się od tego ideału, który już zdawaliśmy się dosięgać. Zaiste, Ryszard wcale nie był takim jakim

byćby pragnął. Zwyciężyło go uczucie upadku na duchu. Bardziej niż kiedy widział teraz, że jedynem możliwym ocaleniem byłoby życie rozjaśnione miłością Konstancyi, byłaby szczęśliwość spokojna; a ta szczęśliwość bardziej niż kiedy oddalała się od niego. Współcześnie czuł się jakby upadłym i potrzebował robić wysilenie żeby się dźwignąć we własnym szacunku.

Dni były jeszcze bardzo krótkie, i na pół mili przed Mantino mrok zapadł. Zimno było przejmujące. Nakoniec powóz wtoczył się do wsi. Wracający od roboty wieśniacy zatrzymywali się zdziwieni, i patrzyli na szybko zbliżające się zapalone latarki powozu. Mgła stawała się coraz gęstsza. Wszelako niektórzy poznali dziedzica, lub domyślili się że to on jedzie, i zdjęli kapelusze. Na placu przed kościołem stała gromadka ludzi. Drzwi kościoła były otwarte; w głębi na ołtarzu paliły się jarzące świece. Dawano ślub. Kilka kobiet wychodząc z kościoła poprawiało chustki na głowie.

Powóz zawrócił, woźnica gwizdnął, otworzyła się zwolna wielka brama, i konie spocone i buchające parą, stanęły przed dworem.

— O! Panicz przyjechał! zawołał stary Jan, który jeszcze miał zwyczaj nazywać tak margrabię.

I zapaliwszy świecę wprowadził go do pokojów.

— Doprawdy, nie oczekiwaliśmy panicza! — mówił. A mój Boże, nic się nie przygotowało na przyjęcie!

— Mniejsza o to, mój pocziwy Janie. A Binetti w domu?

— Nie panie. Dziś rano pojechał odwiedzić swoich krewnych; ale wkrótce powróci. Czy pan margrabia długo tu zabawi?

Mimowolnie Ryszard ciężko westchnął.

— Nie wiem jeszcze, rzekł.

Stary Jan milcząc poszedł do kuchni wydać rozporządzenia.

Siadłszy przy stole w obszernej sali jadalnej, słabo oświetlonej jedną lampą, Ryszard patrzył na ściany, na owe przedmioty co z niemą wymową przypominały mu czasy radośniejsze, i uczuł taki smutek w duszy, że nie tknął potraw które ekonom kazał naprędce przygotować, a smutek tak wyraźnie malował się na jego twarzy, że stary Jan także posmutniał, stracił ochotę do gawędki, i milcząc patrzył na panicza.

Nazajutrz Ryszard obudził się o świcie po snie dość niespokojnym, i tak niecierpliwie pragnął zobaczyć pana Antoniego i dowiedzieć się coś o Konstancyi, że nie mógł usiedzieć w domu, i wyszedł na pola śniegiem pokryte, czując potrzebę ruchu dla zabicia czasu i daremnie znużeniem ciała usiłując uspokoić duszę.

ROZDZIAŁ VI.

A Konstancya? Ach, ileż przeżyła w tym krótkim czasie przepędzonym w mieście! Z początku była szczęśliwą; do serca jej wracało zaufanie pierwszych dni, widziała że jest prawdziwie kochaną. Była to chwila w której Ryszard cały zwrócił się ku niej uciekając przed niebezpieczną hrabiną. Dawny uśmiech rozjaśniał twarz dziewczyny. Wierzyła w przyszłość.

Potem, nieznacznie zmieniło się obojętnie względem niej Ryszarda, i ona z wolna to spostrzegła. Był roztargniony,

zajęty myślami, niespokojny. Mówił jej zawsze to samo, ale już nie z taką prostotą jak dawniej. Niekiedy spoglądając na zegar, wstawał z pośpiechem. Raz nie przyszedł o zwykłej godzinie. Miewał chwile smutku bez powodu, to znowu bywał wesół, gdy ona przypadkiem czuła się smutną. I w sercu jej zrodziło się przecucie, które wkrótce stało się podejrzeniem. Postanowiła baczniej śledzić jego obejście, i przy jasnowidzeniu miłości któremu dopomagał głęboki instynkt niewieści, niebawem się przekonała, że Ryszard ukrywał coś przed nią i że nowy żywioł wszedł do jego życia; i bez wyraźnej przyczyny, powątpiewanie jej przemieniło się w pewność.

Obawy swoje zwierzyła stryjowi, przed którym teraz nic nie ukrywała. On z kolei śledził obejście Ryszarda, i musiał uznać, że się znacznie zmieniło, i że widocznie młody człowiek był roztargniony i czemś mocno zajęty. Konstancya przypomniała stryjowi fatalną obietnicę, że nie utai przed nią nic z tego co się o nim dowie, i że nie popełni jednego z owych kłamstw i zwodzeń pobożnych, które często okrutne miewają następstwa.

Malarz z położenia swego musiał bywać w towarzystwach i słyszał o intrydze Ryszarda z hrabiną, oddawna już zakończonej; nie poczuwał jednak ani obowiązku ani prawa do zajmowania się przeszłością Ryszarda; takie rzeczy zdaniem jego, nie mogły być objęte ową obietnicą. Potem słyszał niejasną historję o poróżnieniu się i rozłączeniu pani Alwiano z mężem; mówiono mu, że wyjechała za granicę i że zapewne nieprędko wróci. Nie myślał więc już o niej i prawie zapomniał.

Jak często się zdarza, z przyczyny najpospolitszej w świecie dowiedział się rzeczy, których inaczej nigdyby nie przypuścił do myśli. Pokojówka hrabiny Alwiano,

Klementyna, miała przyjaciółkę modelkę, którą znali wszyscy malarze prócz pana Antoniego, bo on malował tylko krajobrazy. Dwie przyjaciółki nie miały dla siebie tajemnic i widywały się co niedziela. Nic też dziwnego, że gdy Ryszard zaczął znów codziennie bywać u hrabiny, Klementyna powiedziała o tem modelce, rozumie się pod sekretem. We dwa dni później, także pod sekretem dowiedzieli się o tem wszyscy malarze; pan Antoni także się dowiedział, ale udał że to go nic nie obchodzi, i tylko się starał o to, żeby owa wiadomość nie wyszła z pracowni malarzy.

Była to dla niego wiadomość bardzo przykra. Czuł żywą sympatyę do Ryszarda i lubo zrazu nie ufał stałości jego uczuć i wcale nie podzielał radości swej bratowej na myśl że Konstancya „zrobi świetną partyę,“ to jednak od pewnego czasu był przekonany, że kocha ją prawdziwie, że jest lepszym niż się zrazu zdawał, i że ją uszczęśliwi. Łatwo przeto zrozumieć, jak zachwiać się musiały jego nadzieje, gdy się dowiedział, że Ryszard w przeddniu ślubu, nie zdolnym był oprzeć się kaprynowi i że dawne stosunki znów zawiązał. I pomyślał sobie ze zdrowym rozsądkiem człowieka co kocha prawdziwie: kto zaręczy że on nie opuści wkrótce Konstancyi, skoro tak ją kochając uległ przecież namiętności, która oddawna powinna była zagasnąć?

Wprawdzie smuciła go myśl że sprawi Konstancyi największą boleść w życiu, ale poczytywał sobie za ścisłą powinność skrupulatnie dotrzymać danej obietnicy, i zawiadomić ją o postępowaniu Ryszarda; z drugiej jednak strony nie miał serca przynosić jej wiadomości tak srogiej. Niekiedy nawet powątpiewał, czy byłoby to dobrem. Prawdopodobnie był to tylko chwilowy kaprys Ryszarda;

Konstancya nie dowiedziawszy się o niczem wyszłaby za Ryszarda i żyłabym z nim szczęśliwie. Wykrywając wszystko, cóżby dobrego uczynił?

A jednak obiecał. Przyszedł mu na myśl sposób „pośredni;“ zamierzał pomówić z Ryszardem, wyrzucić mu jego postępowanie i zażądać objaśnień.

I dręczył cię wciąż tą niestanowczością, gdy jednego dnia Konstancya, która od pewnego już czasu była smutniejszą niż zwykle, powiedziała mu że „wie o wszystkim.“ Był to niewieści podstęp, żeby wydrzeć stryjowi tajemnicę postępowania Ryszarda, które, jak przypuszczała, musiał znać dobrze. Malarz wpadł w istocie w zasadzkę i zdradził się ubolewając nad postępowaniem Ryszarda. Wtedy Konstancya z płaczem kazała mu powiedzieć wszystko. Stryj, trochę zmuszony, trochę pobudzony wstrętem do udawania, rozpowiedział jej szczegółowo, co słyszał na mieście.

Konstancya zbladła jakby omdlenia blizka, i wybuchając rzewnym płaczem łkała konwulsyjnie na piersiach stryja. Pan Antoni tejże chwili pożałował, że dał sobie wydrzeć to czego jeszcze nie zamierzał wykryć: ale kość była rzuconą, i nie mógł się cofnąć. Gdyby próbował przerobić swe opowiadanie i osłabić jego doniosłość, ona by mu nie uwierzyła.

Żal jednak trwał krótko. Wkrótce potem pan Antoni był nawet rad temu, że wszystko powiedział i że wykrył tajemnicę, która jak zmora, tłoczyła mu piersi; i czuł, że gdyby w tej chwili nic jej nie powiedział, później nie miałby już na to odwagi. Konstancya miała duszę zbyt wzniosłą, czystą i szlachetną, aby godziło się ukrywać co przed nią. I chociaż cierpiał sprawiając jej wielką boleść, był jednak zadowolony ze spełnienia powinności.

Biedna Konstancya! Zdawało jej się, że nagle zasłona padła na wszystko, że cały świat był fałszem niezmiernym, i że wyraz „nadzieja“ dzwięczał jak uragowisko. Modliła się, modliła długo, z całym zapałem wiary głębokiej, ale po raz pierwszy się jej zdało, że Bóg nie chce i nie może jej wysłuchać. Wszystko było fałszem na tej ziemi. Błada, nieruchoma, zgnębiona boleścią patrzyła przez szyby okna na śnieg jednostajnie padający, i czuła że chłód w sercu mroźniejszym jest od zimy, i zdawało jej się, że wiosna nigdy już nie powróci.

A jednak umiała jeszcze ukrywać swoją boleść, ukrywać z siłą niesłychaną i nadzwyczajną, jaką ma kobieta co kocha. Dla czego jednak udawać? Czego jeszcze spodziewała się opóźniając powiedzenie mu iż wie że ją zdradził? Niczego niewątpliwie. Ale jak mu to powiedzieć?

I dopiero gdy on, zbudziwszy się z upojenia spostrzegł zaszłą w niej zmianę i zapytał o przyczynę, ona nie mogła się już powściągnąć i nadmiaru boleści utaić. I niezdolna mówić, ze śmiercią w duszy, ale wytrwała w powziętem postanowieniu, czując się nieco mężniejszą gdy nie był przy niej, napisała owe smutne wyrazy, owe stanowcze pożegnania, znane czytelnikom.

Wszystko więc było skończone. I usiłowała zahartować duszę przeciw srogiemu losowi, i potroszę się to powiodło. I wzywała mocy do znoszenia ciosu który w nią ugodził, i moc tę w części otrzymała. Należało powrócić do dawnego życia, wyrzec się szczęśliwości już tak blizkiej urzeczywistnienia. Zrazu od rezygnacyi przechodziła stopniowo coraz wyżej aż do nadziei najpewniejszej; teraz ze szczytów radości trzeba było spaść w smutek bez końca, i żeby nie umrzeć, należało znaleźć spokój w tym smutku. Należało mieć siłę do zapomnienia o upłynionych miesią-

cach—o świetnych miesiącach jej życia—jakby wcale ich nie było. Ale nawet w chwilach w których czuła się najsilniejszą, miała przekonanie, że już nigdy nie będzie taką jaką dawniej była. Owo dawne życie spokojne już nie wróci: należało się przygotować do walki ustawicznej.

A było jeszcze dla niej srogą męczarnią to, że musiała wszystko powiedzieć swej matce; i biedna niewiasta płakała z nią, nieomylnem okiem przywiązania przewidując jej boleść. A opłakiwała także rozwianie własnych marzeń; lubo z drugiej strony wydawało się to jej niemożliwem, i w kąćniku serca zachowała jeszcze iskierkę nadziei, że z czasem Konstancya przebaczy Ryszardowi i będzie margrabiną.

W każdym atoli razie nie miało to nastąpić tak prędko, skoro Konstancya postanowiła nie widywać go wcale. Lekarze radzili matce podróż do cieplejszego klimatu, i Konstancya nalegała żeby zaraz wyjechały. Wszelako trzeba było wrócić jeszcze na wieś, do domku w którym tyle radosnych dni przepędziła, a to ją smuciło, i zarazem budziło chęć ujrzenia jeszcze tych miejsc gdzie była tak szczęśliwą. I gdy tam wróciła, nie doznała oczekiwanego wrażenia. Spadła, że tak powiemy, na same dno smutku i już głębiej zanurzyć się nie mogła.

Pan Antoni był zrazu oburzony na postępowanie młodego margrabi; uspokoił się jednak w obec boleści Ryszarda, która wydała mu się szczerą. Wywiedziały się o wszystkim i w końcu powziął nadzieję, że z czasem da się wszystko ułożyć. Nie lubił postanowień gwałtownych i romantycznych, i patrząc na głęboki smutek Konstancyi, współczuciem wiedziony, postanowił dołożyć wszelkich starań, żeby mogła być jeszcze szczęśliwą. I niebawem doszedł do przekonania, że jedynym sposobem dopięcia

tego celu było pogodzenie jej z tym, którego, mimo wszystko, zawszeby kochała. Ma się rozumieć, że do tego potrzebnem było mocne przekonanie, iż intryga z hrabiną na prawdę się już skończyła, i że Ryszard, acz zaślepiony namiętnością chwilową, kochał Konstancję tyle przynajmniej, że już nie dawałby jej powodu do cierpień.

Zaczął tedy namawiać synowicę, żeby zgodziła się zobaczyć raz jeszcze Ryszarda. Zrazu stanowczo się temu oparła. Uciszywszy jednak pierwszy wybuch boleści, i odzyskawszy spokój pozorny, uległa tej radzie która aż nazbyt zgadzała się z tajemnym i nieprzepartym popędem jej serca. I nie mogła zaprzeczyć przed sobą samą, że węzły zwolna zacieśnione w długiej zażyłości, nie mogą być gwałtownie zrywane, i że należy je zwolna rozwiązać. Nie można było zabić serca jednym ciosem, należało poddać się męczarni i czuć jego bicia zwolna zamierające w piersiach. Miłość jednak dodaje słodyczy do wszelkiej męczarni. I jak tu odmówić objaśnień, pożegnania, widzenia się raz jeszcze?

Pan Antoni tedy, nazajutrz po przyjeździe do Mantino, stosownie do swojej obietnicy, poszedł do Ryszarda.

Widzieliśmy z jaką niecierpliwością był oczekiwany. Binetti powrócił, zdumił się niespodzianym przyjazdem margrabi, poszedł go przywitać, zawiadomił że proces z zarządem kościelnym był stanowczo przegrany, ale zaraz się oddalił spotrzegłszy, że margrabia nie miał wcale ochoty rozmawiać o interesach. Rządca oddawna zauważył, że margrabia był zakochanym z Konstancyi, i wychodząc od niego pomyślał: Założyłbym się, że ta ambitna szlachcianeczka zrobiła jakie głupstwo! Tym gorzej dla niej, bo taka sposobność zostawia wielką panią już się jej nie zdarzy. I zaraz w duchu dodał, że dla margrabie-

go było to lepszem, bo odzyskiwał wolność i mógł zawrzeć małżeństwo „godne“ swego domu i swego majątku.

Uwolniwszy się od nudnego rządzcy, Ryszard długo przechadzał się po pokoju zamyślony. Tak żywo czuł żal za swój postępek względem Konstancyi, że niecierpliwie pragnął wszystko dla niej poświęcić. Zdawało mu się, że oddać całe życie na naprawienie popełnionego błędu, było jeszcze mało. Przysięgał sobie, że dołoży wszelkich usiłowań żeby ją uczynić szczęśliwą i żeby mogła zapomnieć niezmierną bolesć tych dni fatalnych. Serce jego przepelnione było niewymownem współczuciem; oddałby cały swój majątek za każdą z łez które w tych dniach biedna przelała. Znał jej dobroć i był pewnym przebaczenia; ale także znał wzniosłość jej uczuć, i wątpił czy ona zechce znowu go przyjąć. Jeśli zaś stanowczo odmówi mu swej ręki, co się z nim stanie? Czuł że w takim razie stałby się obojętnym, złym, nieużytecznym członkiem społeczeństwa.

A jednak w chwilach, gdy jaśniej widział własne myśli, nie mógł przed sobą zaprzeczyć, że w tej chęci poświęcenia się zupełnego dla Konstancyi, najbardziej czarowała go szczytna myśl spełnienia powinności. Mimowolnie obraz hrabiny często stawał mu przed oczyma; myśl o niej wkradała się podstępnie do wszystkich innych.

Gdy malarz wszedł, Ryszard spiesznie pobiegł ku niemu.

— Namówiłem Konstancyę żeby jeszcze widziała się z panem. Możemy pójść, jeśli chcesz.

— Idźmy zaraz, odpowiedział Ryszard.

Pierwsze spotkanie było bolesne i chłodne. Konstancya była niezmiernie bladą, oczy jej nosiły ślady bezsenności raczej niż płaczu. Margrabia ujął jej rękę i długo ją ca-

łował nic nie mówiąc. Pan Antoni, powiedziawszy słów parę, zostawił ich samych.

Dziewica milczała. Ryszard usiadł przy niej, ale nie śmiał już wziąć jej ręki, i rzekł zwracając oczy na okna przez które widać było w dali drzewa ogródka:

— Panno Konstacyo, jesteś bladą, wiem że cierpisz, ale z pewnością mniej odemnie. Dla czego nie chciałaś pani już widzieć mię wcale? Czyliż byłbym występniejszym niż jestem? O, czuję żem występny! I pani nie możesz mi przebaczyć?

Dziewica jeszcze milczała.

— O, powiedz pani słówko, jedno słówko; czy nie możesz mi przebaczyć?

— Wiadomo panu, że już przebaczyłam, wyszeptaną głosem zgodnym ze spojrzeniem smutnem spuszczonej oczu.

— Więc dla czego pani chce odjechać, dla czego...

— Czy pan sądzisz, że postanowienie moje, o którym panu pisałam, może się zmienić? To się pan bardzo myli! To co napisałam, jest owocem długich rozmyślań i... wielu łez.

— Panno Konstacyo, chciej mię pani posłuchać. Pozwolisz mi pani zrobić wyznanie szczere, zupełne?...

— Nie. Nie chcę wiedzieć więcej nad to co wiem.

(A z pewnością nie wiedziała wszystkiego. Ani pan Antoni, ani nikt inny nie wiedział, że gotów był uciec z hrabiną.)

— Dość mi wiedzieć, dodała Konstancya, żeś się pan zmienił wprzód jeszcze nim się tego obawiałam, że w przedniu połączenia naszych losów i naszych serc na zawsze, mogłeś myśleć o innej kobiecie. Zresztą, nie miej pan żadnych wyrzutów sumienia, nie sądz żeś danego nie dotrzy-

mał słowa. Wiadomo panu, że nie chciałam przyjąć od pana żadnej obietnicy, teraz spostrzegam żem dobrze nauczyła. Byłeś pan wolnym zawsze i jesteś nim dziś jeszcze.

— Nie, panno Konstancyo, nie uważam się za wolnego; ale choćbym nim był nawet, przysięgam pani, że się tej wolności zrzekam, że chcę życie moje całe dla ciebie poświęcić, i tylko tobą zawsze się zajmować; przysięgam, że miłością bez granic pragnę zasłużyć na twoje przebaczenie i na wzajemność.

— Nie wymawiaj pan wyrazu który między nami nie ma już znaczenia. Nie miłość to dyktuje panu te słowa. Jestto uczucie inne, bardzo szlachetne, ale które mi nie wystarcza, jestto uczucie powinności.

— Nie, panno Konstancyo, przysięgam że cię kocham, że cię kocham nad życie, że kocham jak nikt jeszcze nie kochał!

— Jestto złudzenie. Pan czujesz dla mnie litość i nie więcej. Powtarzam jednak: jesteś wolnym, zawsze mieć będę dla ciebie jednaki szacunek i jednaki przywiązanie. I odzyskam spokój, i postaram się być szczęśliwą jak dawniej... nim cię poznałam.

I usiłowała się uśmiechnąć.

Naówczas taka w istocie litość ośwładnęła młodego człowieka, tak serce jego przepełniło się tem uczuciem, że zbliżywszy się do dziewicy zawołał głosem wzruszonym i ze łzami w oczach:

— O, panno Konstancyo, błagam cię, posłuchaj mnie i uwierz temu co mówię! Przysięgam, że jestem szczerym, że cię kocham duszą całą! Nie bądźże pani zbyt surową. Moją szczęśliwość, moja przyszłość, całe życie moje są w twoich rękach. Jeżeli mnie odepchniesz, nie wiem co się ze mną stanie, ale w tej chwili czuję i widzę jasno, widzę

z przenikliwością jaką daje miłość prawdziwa, że będę nieszczęśliwym na zawsze. Pani zbyt wysoko stawiasz swój ideał. Nie chciej rozciągać swych praw do mojej przeszłości; przyrzekam uczynić wszystko co tylko można żebyś pani o niej zapomniała. Niechaj rozum twój, pani, rozkazuje sercu. Bądź pewną, że jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, żadna kobieta nie będzie bardziej ubóstwianą. Podnieś pani głowę, spojrzysz śmiało w przyszłość, miej odwagę.

— Odwagę do czynienia na nowo próby, która się zaraz w początkach nie powiodła? Nie, takiej odwagi nie mam i już nie nabędę. Zawszebym powątpiewała o panu, a wiesz pan dobrze, że miłość bez wiary jest męczeństwem.

— Dla czego jednak powątpiewać? Będę wszystkim dla pani. Pojedziem, jeśli pani chce, udamy się w kraje dalekie... O, pani, zgódź się tylko zostać moją żoną, a zobaczysz że prześlągam cię, przekonam! Stryj pani także mi sprzyja.

— Sprawa ta jest tylko między mną i panem.

— Tym łatwiej więc powinna być pomyślnie rozstrzygnięta. Ach panno Konstancyo, czy przypominasz sobie lato upłynione? Czy podobna, żeby z miłości tak wielkiej nic nie pozostało, i żeby znikł wszystek ów przepych? Chociaż pani nie przyjmujesz obietnicy ust moich, czyliż serce moje nie jest twojem? I czy pani już mnie nie kocha? Chyba tak; to pani się zmieniłaś, bo może teraz mną pogardzasz...

— Nie; powiedziałam już panu że nie mogę się zmienić. Zawsze kochać pana będę, a jednak nie mogę już być pańską żoną. Posłuchaj mię, panie Ryszardzie; pozwól niech ci odślonię moją duszę, a wtedy mię zrozumiesz i nie

powiesz że niesprawiedliwa lub exaltowana. Nie jestem już dzieckiem. Wprzód nimesmy się poznali, wiele myślałam, wiele się zastanawiałam. I wyrobiłam sobie wyobrażenia które zapewne pozostaną na zawsze niezmiennone. Patrzyłam na życie z jednej tylko strony, i wyznaję panu, że to życie było oświecone miłością pełną zaufania, pogodną, wyłączną i jedyną. Było to marzenie, które może wszyscy roją, ale którego nikt zapewne nie urzeczywistnia. A jednak i w wypadkach życia osób znajomych, i w przygodach osób powieści i poematów które czytałam, nigdy nie mogłam zrozumieć miłości podzielonej lub w jakikolwiek sposób zmniejszonej. Nie znam wcale udręczeń namiętności i znać nie chcę; w mojem przekonaniu serce powinno żyć lub umrzeć, a zazdrość zabiłaby we mnie miłość. Może masz pan rację, może zbyt wysoko stawiam mój ideał, ale nie mogę się już zmienić.

— A jeśli bym przyrzekł pani, że się wzniosę do tego ideału, jeśli bym...

— To już niemożliwe. Miłość jest rośliną delikatną, która winna kwitnąć zdrowo i bujnie; chorowita więdnie i upada. Pozwól mi pan mówić dalej. Mojem marzeniem było więc życie całe rozjaśnione miłością, połączenie dwóch serc których nie może rozdzielić na ziemi, i które może spotkają się jeszcze na tamtym świecie. Ale pomimo ten mój ideał zbyt może wzniosły, mam rozum praktyczny. Ten rozum mi wytłumaczył, że nawet bez dopięcia prawdziwego celu życia, kobieta może żyć pożytecznie i że miłość nie jest nieodzownie potrzebną. I mam nadzieję, że jeszcze zdołam odzyskać to przekonanie. I z góry byłam zdecydowana wyrzec się pana, bo nie sądziłam żeby miłość pana mogła być zupełną i niepodzielną. Byłam zresztą zadowoloną przywiązaniem mojej rodziny, spełnianiem

swoich powinności i rozważaniem piękności bożego świata. Przypominasz pan sobie, że wówczas podziwiałeś moją szczęśliwość? Umiałam przestawać na małym i to wystarczyło mi do cichego szczęścia. Co więcej było nad to, wydawało mi się marzeniem, którem zaprzętać sobie głowę byłoby nieużytecznem. Przywiązanie matki i stryja Antoniego, książki, trochę muzyki, kwiaty i przechadzki wystarczały mi zupełnie. Piękny zachód słońca sprawiał mi wielką radość. I nie żądałam nic więcej.—Ale pan przyszedłeś, poznałam cię, pokochałam i nie mogłam wyprzeć się tej miłości. Długo tłumione myśli o innem wyższem szczęściu z nienacka wróciły do duszy i zapełniły ją całą. Długo wątpiałam, ale w końcu poddałam się złudzeniu, i zdało mi się, że mój ideał życia może się urzeczywistnić. Przez kilka miesięcy żyłam jak we śnie. Pan zbudził mnie nagle; i niepodobna już wracać do tych marzeń.

— Ach, panno Konstancyo, dla czego niepodobna? Czyliż pani sama nie jesteś przekonana, że dla miłości nie ma nic niemożliwego?

— Tak, dla miłości nie ma nic niemożliwego, prócz jednej rzeczy: nie może przeżyć siebie samej. Miłość, żeby była, potrzebuje wiary; sama nadzieja nie wystarcza. Ja zachowuję miłość całą, niepożyta, ale mi brak wiary, a bez niej miłość jest męczarnią.

— Więc pani wątpisz o moim honorze? Skoro przysięgam...

— Nie wątpię o tem. Byłbyś pan zdolny dotrzymać danego słowa. Mógłbyś pozornie mię uszczęśliwić, poświęcić się dla mnie, wyrzec się wszystkiego, dać mi wszystko. Jednej atoli rzeczy zawszeby brakło—miłości. Bez miłości małżeństwo jest świętokradztwem. I nie wystar-

cza tu przywiązanie, litość; potrzebną jest miłość prawdziwa.

— Bóg widzi, że panią kocham...

— Nie kochasz mię pan tak jak się kochać powinno, żeby jedno mogło być wszystkim dla drugiego; nie kochasz mnie tak jak ja cię kocham. Pozwól mi pan zadać jedno pytanie; ale daj słowo honoru, że odpowiesz prawdę, i że przed odpowiedzią poradzisz się swego sumienia. Czy dasz mi pan słowo honoru?

Ryszard wstrząśniony uroczystą prawie powagą jej głosu odpowiedział:

— Daję je pani i przysięgam, że powiem rzetelną prawdę.

— I że zastanowisz się przed odpowiedzią? Dam panu czas do namysłu.

— Dobrze, zastanowię się. Jakież to pytanie?

Dziewica podniosła głowę, spojrzała mu przenikliwie w oczy i mówiła zwolna:

— Czy kochasz mię pan tak samo, bez żadnej różnicy, jak przed trzema miesiącami?

Margrabia spuścił głowę na piersi i nic nie odpowiedział. Zdawał się zastanawiać i namyslać i długo tak mileczał. Wkońcu zakrył twarz rękami. Nie śmiał odpowiedzieć.

— Nieprawdaż, że nie możesz pan powiedzieć, że mię kochasz tak jak dawniej? A więc, jeśli tak, mam słuszność że nie chcę zostać pańską żoną. Próba się nie powiodła; zdążylibyśmy oboje do oczywistego nieszczęścia.

Ryszard był z tych ludzi, co w wielkich przesileniach życia nie umieją udawać. Odpychał obłudę, nie cierpiał kłamstwa. Czuł, że kochał ją jeszcze, może nawet goręcej pragnął ją zaślubić, ale nie kochał już tak jak daw-

niej. Kłamać nie mógł, a jednak jeszcze usiłował ją przekonać.

— Pomimo wszystko, kocham panią głęboko. Zapomnijmy przeszłość i myślm tylko o przyszłości. Dla czego powiadasz pani, że bylibyśmy nieszczęśliwymi?

— Już powiedziałam dla czego. Dla tego, że nie mogę znieść myśli o powątpiewaniu i o zazdrości. Gdybym została pańską żoną a nie miała wiary w pana, życie byłoby piekłem. Stałabym się nieszczęśliwą, może złą nawet, może nieznośną. Już panu powiedziałam, że nie mam odwagi.

— Och, panno Konstancyo, ten brak odwagi jest prawdziwie okrutnym. Zbłądziłem, zawiniłem, ależ jak sroga kara!

I młody człowiek dodał bolesnym tonem:

— Pani nie masz już dla mnie szacunku.

Dziewica spojrzała na niego z czułością niewysłowioną, prawie macierzyńską.

— Owszem, szanuję pana zawsze. Nie mogę cię wcale ganić. panie Ryszardzie, i nie mam żadnej urazy. Nazwiesz mię może romantyczką; nie jestem nią jednak. Nie podzielam wyobrażeń, które wielu nazywa poetycznemi. Wiem, że można kochać kilka razy; przynajmniej niektórzy mogą. Miłość może się zmieniać, i w istocie się zmienia. Nie zawiniłeś więc pan wcale; jesteś jeszcze bardzo młody. Jest więc bardzo naturalnem, że nie mogłeś stale kochać mnie tak jak dawniej. Lepiej jest jednak, żeśmy to spostrzegli wprzód nimeśmy się na zawsze pobrali. Teraz mogę panu przebaczyć, ale gdybyś mię zaślubił, możebym już nie mogła.

— I to są ostatnie pani słowa? Nieodwołalne? Och, panno Konstancyo, nigdy nie przypuszczał że można tak cierpieć, jak ja cierpię w tej chwili!

I łzy towarzyszyły tym słowom.

Ona ujęła jego rękę, ścisnęła ją mocno, i zdawała się chcieć coś powiedzieć; ale nagle wstała i spieszenie wybiegła z pokoju.

ROZDZIAŁ VII.

W chwilach życia choćby najuroczystszych i najbardziej stanowczych, trzebaż mieć czas na owe zajęcia codziennie, które regularnie powracają. Tego też dnia około szóstej wieczór, pan Antoni, Konstancya i Ryszard siedzieli za stołem w pokoju jadalnym, jak gdyby ten dzień podobny był do wszystkich innych. Poraz to pierwszy Ryszard jadł w tym pokoju, — i prawdopodobnie poraz ostatni. Obiad był smutny, nie tak jednak smutny jakby tego wymagały okoliczności. Pani Gerardi była dość zakłopotana; albowiem Ryszard nie był urzędownie uważany za jej przyszłego zięcia, a że o jego oświadczeniu się Konstancyi wiedziała tylko poufnie, przeto i o zerwaniu zamierzonych związków nie mogła wiedzieć inaczej. Starła się więc mówić o rzeczach obojętnych: powiedziała, że resztę zimy myśli przepędzić w Pizie, że jednak zapewne wkrótce powróci i że wybrałaby się zaraz, że jednak mnóstwo jeszcze drobnych rzeczy trzeba wprzód załatwić. Konstancya czasami tylko wtrąciła jakie słówko.

Gdy przeszli do bawialnego pokoju, do tego pokoju, gdzie Ryszard ujrzał ją po raz pierwszy, gdzie tak długo badał jej charakter w niemych rozmyślaniach rodzącej się miłości, i gdzie potem siedząc w kącie tyle godzin rozmawiał z nią pocichu,—nagle uczuł smutek ponury jakiego doznajem na widok miejsc co były wesołe i radosne radością minioną na zawsze. W tym pokoju zrodziła się nadzieja i w tym pokoju teraz umiera. A jednak ten pokój wcale się nie zmienił. Na stole stała ta sama lampa zapalona, stary zegar ścienny tym samym jak dawniej dźwiękiem wybijał godziny, jakże teraz różne! Mała fuzyjka Michasia wisiała na tym samym gwoździu. Ale okna były zamknięte, na dworze świszczał wiatr mroźny. Płomienie wesoło trzaskały na kominku jak w pierwsze dni chłodne upłynionej jesieni.—Ryszard przypominał sobie ton ceremonialny pierwszych swych odwiedzin, przypominał sobie jak w początkach pani Gerardi była zakłopotaną, gdy przeciwnie Konstancya była dziwnie spokojną i pogodną. Ileż czasu upłynęło w dwóch krótkich porach roku! Przez ileż kolei przechodzili, żeby od chłodu owych pierwszych dni dojść do terazniejszej bolesnej zażyłości!

Teraz znowu byli tu zebrani, milczący, jakby w kółku rodzinnem. A jednak nigdy jeszcze nie byli tak rozłączeni jak w tej chwili. Pani Gerardi która trochę przebaczyła Ryszardowi, czasami powiedziała do niego słówko serdeczne a w oczach jej łzy błyszczały. On wtedy wstawał z krzesła na którym zwykle siadywał, zbliżał się do niej i w milczeniu całował jej rękę. Gdzie się podziały owe czasy gdy żartował z nią i wesoło się przekomarzał?

Pan Antoni wziął książkę i zagłębił się w czytaniu. Wkrótce potem pani Gerardi pod różnemi pozorami wyszła z pokoju. Młodzi ludzie znowu pozostali sami.

— Panno Konstancyo, wyszeptał Ryszard, pytam panią poraz ostatni: czy nie już nie może zmienić twego postanowienia?

— Nic zgola. To dla mnie niemożliwe. Nie mówmy już o tem.

— Pozwól mi pani jedną rzecz jeszcze powiedzieć. Pomyśl pani, ile złego mi wyrządzasz. Co się ze mną stanie, w co ja się obrócę? Nie sto razy mówiłem, że pani wyrwałaś mię z niedorzecznego życia, które dawniej wiodłem.

— I dla czego miałbyś pan do niego wracać? Masz przed sobą przyszłość najpiękniejszą, możesz robić wiele dobrego, możesz być pożytecznym obywatelem, dobroczyńcą ubogich, ozdobą społeczeństwa naszego. Tysiące dróg może cię do tego doprowadzić. A wtedy pomyślisz o mnie z wdzięczną przyjaźnią; wtedy odzyskasz moc której teraz nie czujesz, staniesz się szczęśliwym, będziesz zadowolony z zachowanej wolności i znajdziesz miłość lepszą od mojej.

— Nigdy!

— Ja mogę odzyskać spokojność i mieć dawne ciche, malutkie szczęście. Nie wszyscy może mamy prawo do większej i prawdziwszej szczęśliwości.

Pan Antoni podniósł oczy od książki i patrzył na nich dziwnie wzruszony. Mówili tak cicho, że nie mógł słów ich słyszeć. Biedny stryj cierpiał za Konstancyę; chciałby ją był namówić do cofnięcia fatalnego postanowienia, używał wszystkich w tym celu sposobów, i w duszy płakał, że wszystko to było daremne. A jednak mimowolnie podziwiał synowicę.

Oni mówili z sobą bez przerwy. Była chwila, że wzięli się za ręce.

Godziny płynęły zwolna. Ryszard nie miał ochoty odejść. Pan Antoni nie śmiał się odezwać i wciąż trzymał w ręku książkę. Oni nie przestawali mówić po cichu. Konstancya była spokojna; Ryszard blady jak wosk.

Ona powiedziała że już późno.

On odpowiedział: — Pozwól mi pani posiedzieć jeszcze chwilkę, wszak to wieczór ostatni!

I zaczął przechadzać się po pokoju, milczący, ze spuszczoną głową; potem znów usiadł. Milczeli oboje. Tak, wszystko już teraz było powiedziane.

Trzeba było nakoniec się rozstać.

Ryszard postąpił do pana Antoniego i rzekł głosem przerywanym:

— Ach, panie Gerardi, zrobiłeś mi nadzieję zwodniczą. Niepodobna odwieść panny Konstancyi od powziętego postanowienia; owszem, wymogła jeszcze na mnie obietnicę, że się jej zrzeknę i że o niej zapomnę. Poddaję się jej woli; zrzekając się jej, wyrzekam się jedynej prawdziwej szczęśliwości jaką pojmuję; ale zapomnieć o niej niepodobna.

— Kto wie? odrzekł pan Antoni widocznie wzruszony i prawie nie wiedząc co mówi; może to lepsze dla obojga.

— Och, nie wierz pan temu! Trzeba się jednak podać. Żegnam, miej pan zawsze trochę przyjaźni dla mnie.

I ścisnął mu rękę, ale nagle dodał:

— Nie, jeszcze nie żegnam się z panem. Jutro wracam do miasta, a po jutrze raz jeszcze przybędę na pożegnanie. Panno Konstancyo, pragnę pożegnać się z mamą pani. A teraz ostatnie słowo: powiedz pani, że mi naprawdę przebaczasz!...

Ona podała mu obie ręce.

On ujął je, ucałował, potem przyciągnął ją do siebie i na jej czole dziewczem wycisnął długi, smutny pocałunek.

Ona drgnęła mimowolnie— ale opamiętała się nagle i odzyskała spokojność którą w miłości siła niewieścia tylko dać może.

Pan Antoni, smutny, serdecznie pożegnał Ryszarda mówiąc że ma nadzieję zobaczyć się z nim jeszcze.

Kiedy Ryszard otworzył drzwi od ogrodu, Konstancya nagle wzięła szal który leżał na krześle, owinęła się nim, oparła się na ramieniu Ryszarda i wyszli razem.

Śnieg już nie padał, ale ziemia była białym pokryta całunem. Mroźny wiatr poruszał gałęzie drzew, niby skielety rysujące się na pogodnym niebie. Gwiazdy świetnie się iskrzyły. Gdzie wiatr zmiótł śnieg, ukazywała się ziemia brunatna bez śladu zieloności. Gdzie się podziały kwiaty hortensyi? Za niskim murem ogrodu ciągnęło się jednostajne płaskowzgórze. Za kratą żelazną, czekał jak dawniej powóz Ryszarda. Konie zniecierpliwione były ziemię kopytem.

Młodzi ludzie przytuleni do siebie szli jak najwolniej. Pan Antoni pozostał we drzwiach i patrzył. W tej chwili przebiegł myślą wszystkie smutne przygody swego życia i łączył je z najsmutniejszym rozstaniem którego teraz był świadkiem.

Oni stanęli przy bramie, i długo, długo trzymali się za ręce. Potem on odszedł nagle, wskoczył do powozu i woźnica trzasnęła z bicia.

Konstancya patrzyła na oddalający się powóz dopóki nie skręcił na główny trakt; potem wróciła do ogrodu, zamknęła bramę i oparłszy obie ręce o żelazne sztachety stała patrząc na pola.

Pan Antoni sercem ojcowskiem śledził nieszczęśliwą. Widział tylko jej szal ciemny i jedną rękę trzymającą się sztachety.

Nie śmiał przerywać jej rozmyślań bolesnych. Lubo się lękał żeby się nie przeziębila, zostawił ją jednak. Ona stała nieruchoma, pogrążona w myślach, jakby zmieniona w posąg.

Upłynął czas który się zdawał panu Antoniemu niezmiernie długi. Nakoniec pomyślał, że niepodobna już dłużej tak jej zostawiać; spiesznie przeszedł ogród, i dotknął jej ramienia.

— Konstancyo, rzekł po cichu, może wrócimy?

— O tak, tak! Wróćmy!

Płakała. Wsparłszy się na ramieniu stryja, cała drżąca przytuliła się do niego, i wrócili do domu.

ROZDZIAŁ VIII.

I wyjechali o kilka godzin wcześniej, nie widziawszy się z Ryszardem. Konstancya nie miała odwagi rozstać się z nim raz jeszcze, a Ryszard w smutku swoim był jej za to wdzięcznym.

Wistocie wszystko się między nimi skończyło. W rozmowie ostatniego wieczora, którąśmy w głównych tylko powtórzyli zarysach, powiedzieli sobie wszystko to co mogli powiedzieć. Konstancya odmówiła mu ręki, bo nie czując się kochaną całkowicie i niepodzielnie, nie miała odwagi wyjść za niego. Zapewne wiele czasu miało upłynąć nimby się znowu zobaczyli, a w takim razie byłiby już po prostu tylko przyjaciółmi. Wszelkie usiłowanie w celu

zawiązania dawnych stosunków byłoby daremne. Ona długo go prosiła, wymogła obietnicę że nie będzie usiłowała zbliżyć się do niej, radziła mu zająć się czemś pożytecznym, wyjechać, udać się w podróż naukową. Nie chciała nawet żeby do niej pisywał. Była nieodwołalnie zdecydowaną, i pozostała wierną swemu postanowieniu, że nie odda mu ręki, jeśli nie dotrzyma wszystkiego co był jej przyrzekł.

Ryszard czuł, że pierwszy romans jego życia, romans może prawdziwy, był skończony. Pojmował, że należało pogrzebać w przeszłości uczucia jakie on wzbudził, i że już nigdy wskrzeszonymi nie będą. Teraz, jeśli nie miał wskoczyć w przepaść najgłębszej apatyi, należało otworzyć nowy tom i inny rozdział rozpocząć.

Upokarzało go przekonanie, że Konstancya miała słuszność. To co mu powiedziała w owym ponurym dniu ostatnim na wsi, było prawdą. Nie kochał już jej tak jak dawniej; wraz z wznowieniem intrygi z hrabiną zaczął wiednąć ów niebiański kwiat miłości prawdziwej, najpiękniejsza jego życia ozdoba. I nie mógł nie wyznać przed sobą, że wprawdzie kochał jeszcze Konstancyę, i że utrata jej na zawsze była smutną i wielką ofiarą, że jednak uparcie dobijając się o jej rękę, powodował się raczej uczuciem powinności niż potrzebą serca i namiętnością prawdziwą. Nie obawiał się już że nim pogardza, wierzył bowiem w szczerść jej słów i we wzniosłość jej miłości której nie wypierała się, chociaż odpychała go na zawsze; ale nie mógł sam nie pogardzać sobą. Nie mógł skłamać przed nią, a tym bardziej nie mógł zwodzić siebie samego: nie, on jej nie kochał tak jak chciała być kochaną i jak na to zasługiwała. Nie pojmował siebie, nie wiedział jak się to stało, nie umiał oznaczyć dokładnie kiedy zaszła zmia-

na, a jednak zmiana była. Utrzymywać że ją kochał tak jak dawniej byłoby obłudą, a zaślubiając ją uwieczniłby obłudę. Jakkolwiek przeto usiłował się łudzić, widział jednak, że wyrzekając się jej, nietylko schylał głowę przed koniecznością, ale poznawszy smutną prawdę, czynił jeszcze to co był powinien.

A jednak uwolniony od powinności, i nie kochając już jak dawniej, czuł srogi smutek, jaki się czuje zawsze, gdy się żegna na wieki rzecz miłą, piękną i czystą.

Ale, jak się powiedziało, trzeba było rozpocząć nowy peryod istnienia. Często bywa, że w życiu nie wolno jest zatrzymywać się na drodze.

Te i inne uwagi wyraził kuzynowi Andrzejowi, w pewien czas po wyjeździe rodziny Gerardi. Dwaj przyjaciele, siedząc przy kominkowym ogniu w pokoju Ryszarda, długo rozmawiali. W tych dniach hrabia Andrzej często go odwiedzał, próbował rozerwać i rozweselić, ale w poczuciu przyjaźni prawdziwej (rzecz rzadka!) nie dawał mu rad żadnych.

— Może i lepiej, że się tak stało, mówił. Może naprawdę nie byłeś powołany do życia rodzinnego, przynajmniej teraz. Pojmuję twój smutek kochany Ryszardzie; trzebaż się jednak z niego otrząsnąć i coś przedsięwziąć; ciągła bezczynność doprowadzić może do rozpacz. Cóż myślisz począć?

— Wiesz sam dobrze. Za parę dni wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— To znaczy, że pojedziesz tam gdzie jest hrabina?

Ryszard poruszeniem głowy zaprzeczył, i dodał:

— Nie wiem nawet gdzie ona przebywa. Zapewne w Szwajcaryi.

Mylił się jednak. Hrabina była w Paryżu, ze swoim mężem, z którym się pogodziła. Stało się to za usilnem staraniem wuja Ryszarda, hrabiego Vanelli, który nietylko pogodził małżonków, ale jeszcze sprawił swym wpływem, że wkrótce hrabina odzyskać mogła dawne świetne stanowisko w kołach arystokratycznych stolicy.

Wszystko to Vanelli sam później opowiedział szczegółowo swemu siostrzeńcowi, i był mocno zdumiony i wzruszony dowiedziawszy się od Ryszarda, że Konstancya stanowczo odmówiła mu swej ręki.

— A to mi kobieta! zawołał stary elegant. Istne urzeczywistnienie marzeń poety! Nigdybym nie uwierzył, że takie kobiety istnieją.,. jeszcze.

I zaraz ze zwykłą ruchliwością umysłu, wrócił do swojej łatwej filozofii, pocieszał siostrzeńca, pokrzepiał go na duchu, wesoło ubolewał nad jego położeniem między dwoma krzesłami, i dodał:

— Co u licha, mój drogi, nie masz się czego smucić. W twoim wieku byle nie tracić fantazyi, można na każdym kroku znaleźć dwa razy więcej niż się straciło.

Ryszard jednak wówczas czuł się starszym od swego wuja. Straciwszy możność życia spokojnego i miłości prawdziwej, zapragnął rozkoszy namiętności gwałtownych. Czuł potrzebę urzeczywistnienia wszystkich owych pragnień, które zwolna wnikały do jego serca od dnia, gdy znowu zobaczył hrabinę, zmienioną i piękniejszą niż dawniej. Życie burzliwe zdawało mu jedynie teraz możliwe. Pojmował przyszłość w połączeniu z tą kobietą piękną, wytworną, przewrotną a dumną. Podobała mu się myśl, że może wyniosłe deptać zwyczaję i świat wyzywać.

I to widzenie zniknęło także, i młody człowiek widział już tylko przed sobą próżnię.

ROZDZIAŁ IX.

Trzy zimy upłynęły od czasu jak hrabina Alviano zajęła znowu świetne stanowisko w towarzystwach stolicy.

Oddawna już Ryszard opuścił to miasto, gdzie może nie słusznie uchodził za dziwaka i marnotrawcę. Przyjaciel jego, kuzyn Andrzej, rzadko go widywał; jak się bowiem często między przyjaciółmi zdarza, różnili się charakterem i usposobieniem, życie więc ich także było różne i każdy szedł swoją drogą.

Dowiedziawszy się wreszcie że Ryszard jest w Nizzy, hrabia Andrzej postanowił pojechać tam na parę dni żeby się z nim zobaczyć. Wistocie dawno go już nie widział i co się z nim działo nie wiedział.

I tak mu pilno było zobaczyć go, że pręsto z kolei kazał się zawieść do hotelu w którym mieszkał Ryszard. Otworzono mu drzwi na pierwszym piętrze i Baptysta wyszedł na jego spotkanie.

— A, to pan hrabia! Jakże mój pan się ucieszy! Jak miła niespodzianka!

— Czy w domu?

— Śpi...

Była godzina czwarta po południu.

— Jakto, jeszcze?

— A tak zwykle bywa, odpowiedział z westchnieniem

pokojowiec. Już od kilku miesięcy prowadzimy takie życie.

— A więc, jak się margrabia obudzi, powiedz mu że tu jestem.

— Nie, nie, pójdę zaraz obudzić pana margrabiego.

Andrzej obejrzał się po pokoju. Ściany pokryte były obiciem prawie białem z jaśniejszemi kwiatami; pokrycie krzesel i kanapy było z materyi wełniano-jedwabnej ciemno czerwonej. W całym pokoju był ów zwykły sztuczny przepych hoteli pierwszorzędných. Na kominku marmurowym stał zegar brązowy, a obok dwa posrebrzane lichtarze ze świecami na wpół spalonemi. Przy dużej kanapie stał stół pokryty obrusem w tureckie desenie. Na stole leżały materyały piśmienne, książki, fotografie, rękawiczki i różne pudełka. Baczny spostrzegacz mógłby z tego pokoju wnosić o życiu jakie wiódł Ryszard.

Wszędy panował pewien nieład, że się tak wyrazimy, znudzony. Nigdzie śladu stałego zajęcia i jakiegobądź przyzwyczajenia. W jednym kącie było kilka szkatulek rozbitych. Na środku kanapy pudełko cygar jeszcze zamknięte, obok niego różne zwierzchnie ubrania. Powietrze miało jakąś woń nieokreśloną.

Po chwili wszedł Ryszard w białym wełnianym szlafroku, blady, i nieco na twarzy zmieniony.

— Ach, jesteś nareszcie Andrzeju! Jak miły gość! Od wieków cię nie widziałem!

— Jakże wyglądam? spytał Ryszard.

— Wcale dobrze, mój drogi, wcale dobrze... trochę tylko jesteś blady.

— Zawsze jak wstaję z łóżka, wyglądam okropnie. Pozwolisz mi się ubrać?

— Naturalnie.

— Mam tysiące rzeczy do powiedzenia ci, a chciałbym jeszcze wypytać cię nie o jedno. Będziem jednak mieli dość czasu, wszak dłużej zabawisz? A teraz chodźmy do drugiego pokoju.

Andrzej przeszedł do pokoju sypialnego, gdzie nieład był jeszcze charakterystyczniejszy niż w bawialnym. Ryszard ubierając się z pomocą Baptysty, mówił o rzeczach obojętnych i co chwila powtarzał, że mu wielką radość sprawia widok starego oddawna niewidzianego przyjaciela, a to z pewnością nie przyspieszało ważnych czynności toaletowych.

— Jakie jednak u licha wiesz tu życie?

— Staram się metodycznie wszelkimi możliwymi sposobami ogłupić. Baptysta, podaj jaki krawat, tylko żywo!

— Opowiesz mi wszystko?

— Ma się rozumieć, wszystko co tylko zechcesz.

Usłyszano stukanie do bawialnego pokoju. Baptysta wyszedł i wkrótce wrócił z dwoma listami.

Ryszard wziął je, otworzył jeden, szybko przebiegł oczyma i rzucił na stół; potem wziął drugi pisany na papierze dużego formatu, przeczytał kilka wierszy i podał list Andrzejowi.

— Weź, mój kochany, i przeczytaj. Z listu tego poznasz część mojego teraźniejszego położenia, i tem mię uwolnisz od opowiadania rzeczy nudnych.

— Od kogóż to?

— Od Binettego.

Andrzej czytał:

„Jaśnie wielmożny panie margrabiol! Otrzymałem w porę szacowny list pański z dnia 16 bieżącego miesiąca, i zaraz wykonałem zawarte w nim rozkazy, chociaż były wręcz przeciwne uwagom jakie ośmieliłem się w ostatnim moim

liście przedstawić. Podpisany więc został wczoraj rano kontrakt, i jako pierwszą ratę sumy należnej otrzymałem 60,000 franków, które dziś także do pana margrabi wyśłałem. Na nic się już teraz nie przyda powtarzać, że sprzedany folwark wart był trzy razy więcej niż nam za niego dano; i lubo pan margrabia wie o tem bardzo dobrze i pewnie mnie nie usłucha, to jednak otwarcie powiem, że wchodzimy na drogę wiodącą prosto do ruiny, i że jeżeli w blizkiej przyszłości nie zajdzie zmiana, zmuszony będę opuścić stanowiska które mam zaszczyt zajmować, i t. d.“

— Więc rzeczy zaszły już tak daleko? spytał hrabia Andrzej poważniejąc.

— A podobno że tak, mój drogi... chociaż Binetti z pewnością przesadza.

Ryszard był już ubrany, wziął kapelusz i wyszli. Na ulicy, w pełnem świetle, Andrzej przypatrywał się kuzynowi i dostrzegł w nim wielką zmianę. Był wprawdzie jeszcze ubrany bardzo wytwornie, i zaraz można było w nim poznać człowieka z wielkiego świata; ale nie trzymał się już ściśle ostatniej mody, i było w nim coś kosmopolitycznego. Zapusił długą brodę, cerę miał bielszą i delikatniejszą, trochę nabrał tuszy; ale na twarzy widać było ślady przepędzanych bezsennie nocy i wzruszeń pospolitych. Drobne zmarszczki na czole i pod oczyma nie były zmarszczkami człowieka co się w pracach umysłowych zagłębia. Oczy osłabione nie znosiły słonecznego światła.

Idąc, Ryszard prawie na każdym kroku zatrzymywany był przez jakiegoś znajomego, tak iż dwaj przyjaciele nie mogli poufnie z sobą rozinawiać. Ryszard proponował udać się do Monako na obiad, i Andrzej się na to zgodził.

Gdy usiedli naprzeciw siebie w końcu sali, z której mieli widok na pyszny taras zapelniony różnobarwnym tłumem, mogli nakoniec gawędzić swobodnie i długo, jak przyjaciele którzy się od dawna nie widzieli.

Ryszard był w dobrym humorze i mówił o wszystkim wesoło, tonem nieco ironicznym; mówił o wzruszeniach gry hazardowej, o bytności swojej w Niemczech, gdzie przegrywał sumy tak znaczne, że musiał uszczuplać majątek rodzinny i ściągać na siebie wymówki i złowrogie przepowiednie Binettego; mówił, że teraz inaczej zapatruje się na wiele rzeczy niż przed rokiem, i chociaż udawał obojętność, znać było, że ukrywał cierpienia duszy.

— Pomówmy otwarcie, rzekł Andrzej. Gdy hrabina ukazała się znów na wielkim świecie, czy zawiązałaś z nią dawne stosunki?

— A jakże, i nie mogło być inaczej. Wróciła z mężem, i zdawało mi się, że już wszystko skończone. Przez pewien czas nie chciałem u nich bywać; ale w końcu... Ach, mój drogi, nudziłem się okropnie!

— Wróciłeś tedy do niej; dla czego jednak rozstaliście się znowu, po raz drugi czy trzeci?

— Dla tego samego powodu, dla którego pierwszą razą, jeżeli sobie przypominasz, kazałeś mi wyjechać, odpowiedział uśmiechając się Ryszard.

— Och, och! Czyżby to była prawda? Więc piękna nasza hrabina niebardzo się zmieniła. Opowiedz mi wszystko.

Ryszard opowiedział wszystko od niechcienia, niedbale i beładnie.

Kiedy się zdecydował ukazać w salonach państwa Alviano, zdumiony był widokiem nowej zmiany w hrabinie; owa kobieta kochająca namiętnie, która tak go oczarowa-

ła, iż stała się przyczyną wszystkich jego nieszczęść, już nie istniała. Odzyskując dawne stanowisko, przybrała też dawną fizyonomię. Nie było już w niej ani śladu owej nowej kobiety; teraz była znowu wielką panią, jaką poznał pierwszą razą.

I wkrótce hrabina postąpiła z nim tak samo jak wówczas. Ryszard opowiedział o tem Andrzejowi liczne szczegóły, które my tu opuścimy. Odtąd rozpoczęło się dla niego nowe owo życie próżniacze, owa mozolna praca zabijania czasu; owo życie w Baden i Nizy, przepędzane w ciągłych podróżach od jednego miejsca gry do drugiego, owo życie nieporządne i zarazem jednostajne, mające tę korzyść, że się w niem nietylko czas prędko zabija, ale nadto i majątek jak najprędzej traci. Dla czego wiódł takie życie? Chciał zapomnieć, nie już o boleściach wielkich i poważnych, jak to się niewielu ludziom zdarza, ale o boleściach mniejszych, o owem nieznośnem niezadowoleniu z siebie samego, jakie czują ludzie słabi, co nie umieją pogodzić się z losem który im nie dotrzymał pierwszych pięknych obietnic. Przytem, nie był ani artystą, ani uczonym ani ambitnym, ani zdolnym do ambicyi. Nie miał rodziny, był bogaty, a przeto nic go nie zmuszało do walki o byt materyalny. Nie należał do owych dusz silnych, żelaznych, co stawiają opór lub się łamią; należał raczej do dusz pospolitszych, a tak licznych w jego stanie, co się uginają i łatwo dają prądowi unosić. I w ten sposób nieznacznie zagrzął w życie które było najsprzeczniesze z tem o jakim dawniej marzył, gdy miał tylko przyszłość przed sobą.

Teraz miał przeszłość, przeszłość która mu się nie podobala, której nie chciał już rozpoczynać na nowo, i z po-

wodu której nienawidził przyszłości. Wybrał więc życie w którym się żyje wyłącznie teraźniejszością.

To właśnie, tylko innemi słowy i szczegółowiej rozpowiedział Ryszard Andrzejowi. Słońce już zaszło; gwarne tłumy opuściły taras i przeszły do sal gry, a dwaj przyjaciele jeszcze siedzieli naprzeciw siebie.

Hrabia Andrzej zbyt dobrze znał życie, aby nie wiedział, że przyjacielowi, w stanie jego duszy, rady nie na wieleby się przydały, i że tylko wielkie wstrząśnienie moralne mogłoby go z tego stanu wydobyć. Starał się go tylko nakłonić do uporządkowania interesów majątkowych, i do oszczędniejszego życia. Ryszard zrazu odpowiedział z uśmiechem, że właśnie chciałby jak najprędzej stracić cały majątek; w końcu jednak obiecał przyjacielowi, że się zbytecznie nie będzie spieszył.

Hrabia Andrzej wiódł życie zgoła różne niż jego kuzyn, miał liczne poważne zajęcia, i nie mógł dłużej jak kilka dni zabawić z Ryszardem. Czas ten upłynął szybko, i dwaj przyjaciele z obustronnym żalem mieli się z sobą rozstać. Przez te dni byli ciągle razem, przechadzali się, jeździli konno gawędząc czasami wesoło, częściej rozmawiając poważnie lub smutnie.

Jednego poranku po śniadaniu u Ryszarda, hrabia niespodzianie zwrócił rozmowę na hrabinę, o której od kilku dni wcale nie mówiono, i zapytał go, czy nie miał już o niej wiadomości.

— Raz tylko do mnie pisała, odpowiedział Ryszard.

I mówiąc to, otworzył szkatułkę stojącą na stole, wyjął z niej list i podał go Andrzejowi. Było to pisanie delikatne i nieco niepewne. U góry listu błyszczała złocona cyfra hrabiowska.

List był długi. Andrzej szybko przebiegał go oczyma, czytał jednak uważniej, gdy doszedł do tego ustępu:

„Nie możesz nie wierzyć temu co piszę, bo teraz wszystko między nami skończone i nie mam powodu zmyślać. Zapewne musisz mnie nienawidzieć, moje postępowanie musi wydawać ci się potwornem, i z wielu powodów nie możesz już do mnie powrócić. I bardzo być może, iż się już wcale nie zobaczymy. Pozwolisz więc, że poraz ostatni otworzę przed tobą moją duszę, i zechciej wierzyć temu co powiem. Tak, pomimo przepychu który mię otacza, i pomimo moich tryumfów, jestem bardzo nieszczęśliwą. Nikt tego nie spostrzeże, nie będę się popisywała moją niedolą. I zapewne z dumy ją ukryję, bo nie mogę zaprzeczyć żem dumna, a może z niewytłumaczonego połączenia lepszych uczuć. Wątpię czy mię zrozumiesz; żaden język nie wyrazi ani połowy uczuć poruszających serce ludzkie; prócz tego nie umiem jasno się wyrażać. Piszę pospiesznie te słowa pożegnania, piszę z głową zamaconą, szczerze a bezładnie. Gdybyś mógł zajrzeć do mojej duszy, z pewnością czułbyś litość. Jeden tylko człowiek zna dokładnie tajemnice mego życia, i przyczynę wszystkich moich błędów i nieszczęść: twój wuj, jedyny przyjaciel jaki mi pozostał, jedyny człowiek któremu śmiem pokazać prawdziwą swoją fizyonomię. Czyniłam źle, zwiodłam cię raz jeszcze, zgubiłam się nieodwołalnie we własnej opinii, i zaledwie odzyskawszy szacunek społeczeństwa, skazałam się na pogardę moją własną, a wszystko to dla czego?—Jedynie dla tego, że marzenie jednej chwili nie mogło się urzeczywistnić; jedynie dla tego, że los nie pozwolił mi być szczęśliwą w jedyny sposób, w jaki mogłam godnie zdobyć szczęśliwość. Gdybym mogła wykonać szalony projekt powzięty owego wieczora—pamiętasz? gdyś zapomniaw-

szy o nareczonej chciał uciekać ze mną — nie zwiódłabym cię nigdy, byłabym dobra, znosiłabym umartwienia, nawet ubóstwo dla ciebie; albowiem wtedy miałabym prawdziwy cel życia, nasze posłannictwo, miłość. Skoro mi to jednak było odmówione, skorośmy się rozłączyli, to co się stało później, nie mogło się stać inaczej... Samo powietrze w którym żyliśmy, było skażone. Gdybym uciekła, byłabym potępioną w oczach świata, ale szczerą. Od chwili jak się oszukuje jedną osobę, nie ma powodu dla czego by się nie miało oszukiwać wszystkich. Mus tłumienia własnych uczuć przyzwyczajają do udawania; wojna którą prowadzimy ze wszystkimi, wysusza w nas same nawet źródła przywiązania; przykład popycha do złego; nie mogąc mieć szczęśliwości zupełnej, rzucamy się na bezdroża. I otacza nas pokus tysiące, których nie spostrzeglibyśmy nawet w innych okolicznościach. Zmuszając do milczenia serce, nie mogące swobodnie i jawnie uczuć swych wyrażać, pozwalamy za to przemawiać próżności; z obawy żeby się nie zdradziła miłość do której nie możemy się przyznać przed światem, przyjmujemy rozrywki, roztargnienia i bezmyślnie zbiegamy po spadzistej drodze na której nie można się już zatrzymać... Jestto fatalność nieunikniona. Szczęście kobiety i tarcza jej cnoty są w małżeństwie z miłości; bez miłości czeka ją męczarnia lub upadek...“

Hrabia Andrzej nazajutrz pożegnał przyjaciela, małą mając nadzieję, że się zatrzyma na drodze do wszelkiej ruiny, po której wzorem tylu innych, straciwszy wszelkie złudzenia, biegł dość szybko.

ROZDZIAŁ X.

Jeżeli zasmuca widok człowieka, co nie zdołał pocieszyć się po boleściach minionych, przykrzej jeszcze patrzeć na tego co śmiać się z nich może. A tak było z Ryszardem, który w owem życiu bezmyślnem i sztucznem zdołał usnąć w sobie uczucia wewnętrzne.

Nie na zawsze jednak. Bywały chwile, gdy ogarniał go nagle i mimowolnie smutek niewysłowiony. A takie chwile, sam nie wiedział dla czego, stawały się częstszymi od czasu wyjazdu przyjaciela.

Pewnego wieczora—wkrótce jakoś po rozstaniu się z kuzynem Andrzejem — przechadzał się samotnie nad brzegiem morza. W dniu tym ruleta mu sprzyjała i za godzinę miał być na kolacyi z nowymi swymi przyjaciółmi. Stąpając po miałkim piasku który odpływ morza zostawił, podziwiał wspaniały widok nocy pogodnej i jasnej. Księżyc ukryty był za białawym obłokiem przez który rozlewał światło łagodne; lekki wietrzyk nocny poruszał powierzchnię morza. I mimowolnie Ryszard przypatrywał się scenie która się przed nim roztaczała. Usiadłszy na piasku, patrzył na spokojne fale cicho u stóp jego zamierzające, i na niezmierzone wód przestrzenie nikuące na widnokregu dalekim; i myśli jego, niby wierny obraz uspiołego morza, błąkały się także daleko. I tak mocno pogrążył się w tem śnieniu na jawie, że w końcu zapomniał zupełnie o upływającym czasie i o czekających przyjaciółach.

Od kilku minut myśli jego zamknęły się w ciasniejszym kółku; myślał o swoim życiu, o młodości którą teraz mar-

nowa! o straconych nadziejach, o wstręcie do wszystkiego zmieszany z pogardą dla samego siebie, o czczości i głupocie terażniejszych swoich zajęć, o głębokim smutku świętego pozornie istnienia, o próżni serca—i zwolna duszę jego napełniała melancholia jakiej dotychczas może nie znał. Potem myśli jego znowu szersze obejmowały koło, i zdawało mu się, że może składać winę na brak celu jaki dostrzegał na tym świecie, i na znudzoną niedbałość z jaką uśmiechając się roztargniony, biegł teraz po spadzistej drodze do ruiny. Ileż to przykładów miał przed oczyma! Jak licznych miał towarzyszków nudnego szaleństwa!

I myślą cofał się w czasy młodzieńcze, gdy poraz pierwszy zwracamy ku przyszłości spojrzenie pełne zaufania i zarazem trwożliwe. Przypominał sobie, że wówczas nie obawiał się doznać z czasem smutnego rozczarowania i stracić złudzenia. Obdarzony niepospolitym talentem postrzegawczym, wcześniej dojrzał umysłowo. I zdawało mu się, że nie omyli się myśląc o przyszłości. Wiedział, że czekają go cierpienia, że troski będą liczniejsze od pociech, że radości czyste będą rzadkie a uciechy zawsze z pewną goryczą zmieszane. Wiedział, że nikt nie zdoła wspólnego uniknąć losu; że szczęście smugami jaskrawego światła rozjaśnia ciemności życia, ale mu wiernie nigdy nie towarzyszy; że ci co się wydają być najszczęśliwsi, nierzadko bywają nieszczęśliwsi od innych i że nie trzeba oddawać się zbyt świetnym nadziejom, bo łatwo spotka nas rozczarowanie. I od pierwszych lat młodości uzbroił się przeciw cierpieniom nieuchronnym, czerpał otuchę w zasadach filozofii praktycznej a pogodnej; nie wymagał za wiele, i gotów był czuć wdzięczność za każdą szczęśliwość względną a jedyną jaką osiągnąć możemy,

i uzbrajał się w męstwo by przeciw ciosom losu stawiać męską stałość i wytrwałość.

A jednak nie był przygotowanym na to co go spotkało. Jakkolwiek jesteśmy ostrożnymi, życie zawsze z nienacka nas zaskoczy. Mężnie oczekiwane cierpienia poważne nie przysły; a czuł się tak nisko upadłym, że w duchu zazdrościł tym, których los srogi powalił! Ci mogli się jeszcze dźwignąć, mogli walczyć i przeciw losom stawiać czoło pogodnie; a on co mógł uczynić? Nic, tylko dalej wieść życie niedorzeczne i rujnujące, aż w końcu pójdzie w świat z torbą i kijem żebraczym.

Kiedy poraz pierwszy przeczuł znaczenie tego wyrazu: miłość, zdawała mu się, że to uczucie było prawdziwą przyczyną wszystkiego dobra i wszystkiego zła na ziemi. Miłość ukazała mu się jak promień oświecający świat, a współcześnie jak źródło wszystkich łez ludzkich. Kiedy zrozumiał, a właściwiej mówiąc, kiedy odgadł szczęście miłości, przekonany był także, że z niej płyną wszystkie cierpienia. I przygotował się do walki, do cierpień, do namiętnego kochania. Nie pomyślał jednak o tem, że może nie być zdolnym kochać prawdziwie, głęboko i poważnie.

A właśnie to go spotkało — i to go najmocniej smuciło. Zmuszony był wyznać przed sobą samym, że nigdy nie kochał. Młodzieniaszek, czytając opowiadania o wzruszeniach miłości, mówił sobie, że i on czuć będzie owe radości, że i on cierpieć będzie owe boleści, a przewidywane wtedy radości i boleści nie przysły. Jego marzenia ówczesne z pewnością nie ziściły się w stosunkach z hrabiną, a miłość dla Konstancyi, miłość jedynie prawdziwa, nie miała dość w sobie siły, aby się mogła utrzymać, nie była

tak potężną, aby mogła opanować całe jego serce i wypełnić życie.

O Rytę Alviano teraz szczerze i naprawdę wcale już nie dbał. Rozumiał ją, litował się nad nią, ale już na zawsze przestał ją kochać. I stał się zupełnie obojętnym, i nawet się nie smucił myślą, że nigdy już jej nie zobaczy. Nie więcej się o nią troszczył niż o swoją przyszłość. Nawet rana jego miłości własnej dawno się już zabiłżniła.

A Konstancya? Samo to imię, samo tylko to słodkie i bolesne wspomnienie, miało jeszcze moc poruszyć jego serce. Probował nie myśleć już o biednej panience, tak szlachetnie czystej i tak szczerze kochającej; gdy jednak o niej pomyślał, nie mógł już uwolnić się od tej myśli, i marzył po całych godzinach, i niekiedy, wśród tych marzeń o przeszłości, mimowolnie i ukradkiem grube łzy zabłyśły w jego oczach. A tego wieczora, w obec spokojnego morza, w majestatycznym milezeniu nocy; wśród sprzeczności między jego duszą wstrząśnioną a pogodą widnokągu, zwolna uczuwał, że z serca wypływa daleka słodycz tej miłości minionej, i wtedy wzruszenie oddawna zapomniane wkroś go przenikało.

O, jak odmiennem byłoby jego życie, i z pewnością nigdyby nie doszedł do stanu w jakim był teraz, jeśliby się ziściło świetlane marzenie w Mantino! A kto wie zresztą? Azali sam nie wątpił o tem nie sto razy? A jednak głos tajemny mówił mu teraz, że ta miłość byłaby go zbawiła, że w niej jednej była prawda.

Nic już nie wiedział ani o Konstancyi, ani o jej rodzinii.

Nieodwołalnie odtracony przez Konstancyę, zrozumiał że postanowienie jej było niezachwiane, i lubo kochał ją jeszcze głęboko, probował dla zagłuszenia w sobie głosu

serca, wrócić do hrabiny. Z tej jednak strony doznał znów rozczarowania, i wyjechał i rzucił się naoslep w owo życie marnotrawne które teraz pędził, którego nawet nie pragnął zmieniać. Dla tego nic prawie nie wiedział o Konstancyi, tembardziej, że mu wstyd było wypytywać się o nią. Rozstali się jak dobrzy przyjaciele, i pewnie wszystkie stosunki nie byłyby między nimi zerwane, jeśliby Ryszard wstydząc się życia jakie prowadził, nie przestał sam dawać o sobie wiadomości. Wiedział tylko, że od wyjazdu do Pizy jeszcze nie powrócili, i że zapewne dłuższy pobyt w ciepłym klimacie okazał się potrzebnym dla zdrowia pani Gerardi. Dokąd jednak się udali, gdzie byli obecnie, co porabiali, w jakim stanie duszy była biedna Konstancya, nie zgoła nie wiedział, a ta niewiadomość, córka jego własnej winy i życia jakie prowadził, ciążyła mu na duszy ołowiem, była najsmutniejszą ze wszystkich jego smutków, i ona to wypędzała go na przechadzki samotne, w których jednak bardziej jeszcze smutek go przygniatał.

I siedząc nad brzegiem morza, gdzie fale spokojne prawie lizały jego stopy, zapominał o godzinach, o schadzce z przyjaciółmi, o wszystkim, i zagłębiał się w przepaściach swego smutku: owa straszna myśl, że nie kochał prawdziwie, i owo ponure prawdopodobieństwo, że już nigdy kochać nie będzie, dręczyły go teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Godziny szybko upływały a on wcale jakby tego nie spostrzegał. Wszyscy my miewamy takie chwile, w których zmuszeni jesteśmy myśleć, lubo usiłujem uciec przed własnymi myślami. Odurzenie nie może trwać zawsze, i głos sumienia umie nas zmusić abyśmy go słuchali. Wspomnienia przeszłości zawładają wtedy całą naszą du-

szą, i nie jest w naszej mocy oderwać się od nich, chociaż najbardziej tego pragniemy.

Wkońcu jednak uległ znużeniu. Księżyc zniknął z widnokregu, ciemny błękit nieba stał się jakby brunatnym, zarysy brzegów sąsiednich zmieszały się z linią widnokregu i nie można już było ich rozróżnić. Wiatr uciszył się na morzu, powietrze stawało się dusznem, i cała przyroda zdawała się zwolna zasypiać. Myśli jego zaczęły się płatać, smutek przemienił się w potrzebę spokoju, całe ciało pożałowało spoczynku. Opuścił głowę na rękę i zapominając o wszystkim zasnął głęboko.

Kiedy się obudził, słońce nie wysoko na widnokregu oświecało krajobraz. Morze iskrzyło się prawie nieruchome, powietrze poranne, chłodne i zdrowe rzeźwiło Ryszarda; w pewnej od niego odległości gromadka rybaków zarzucała sieci. Powietrze przezroczyście zapowiadało piękną pogodę. Przenikniony chłodem i nieco znużony niewygodnym noclegiem, otrząsnął się zdziwiony że tyle godzin nieświadomie przepędził, wstał, przypomniał sobie okoliczności poprzedniego wieczora, pomyślał o przyjaciółkach którzy zapewne czekali go napróżno, i zwolna bezładnie wracały smętne myśli z którymi był zasnął.

Zamyślony szedł wolnym krokiem do swojego mieszkania, gdy na skrócie ulicy spotkał się z młodzieniaszkiem wysmukłym, słusznego wzrostu, z bujuemi włosami i figlarną twarzą, którą jakby przez mgłę sobie przypomniał. I gdy mimowolnie stanął patrząc na niego, ów także się zatrzymał, i ukłonił się trochę zarumieniony.

Ryszard nie poznał go, a jednak uczuł pewne wzruszenie.

— Czy pan mnie nie poznaje? spytał młodzieniaszek.
Słowa te wystarczyły, poznał go po głosie.

— Michaś! zawołał. Jak się miewasz? Więc tu państwo jesteście? A mama jak się miewa? I oddawna tu bawicie? I na długo jeszcze tu pozostaniecie? Ale jakżeś wyrósł!

Michaś nie odrazu mógł odpowiedzieć na wszystkie te pytania. Bawili tu już od miesiąca. (I nie dziwnego, że się nigdy nie spotkali, wiodąc życie tak różne). Mama była zdrową, stryj Antoni także, ale Konstancya długo chorowała i jeszcze nie przysłała do zdrowia.

Ryszard uczuł ścisnienie serca i był mocno wzruszony. Jak dziwny zbieg okoliczności! Ktoby mu to wczoraj wieczór powiedział? A jednak owego wieczora ciągle myślał o Konstancyi, jakby przecucie mu mówiło że jest blisko niej! I pomyśleć, że gdyby nie przypadek, że zasnął nad brzegiem morza, i że w tak niezwykły sposób noc przepędził, możeby nie spotkał Michasia! I Konstancya była chorą, i jeszcze nie wyzdrowiała? Jak smutna wiadomość!

— Dokąd idziesz, Michasiu?

— Do profesora.

— Czy masz czas zaprowadzić mię wprzód do waszego domu?

— Dobrze, bardzo się ucieszą gdy pana zobaczą; ale się spieszymy.

Ryszard nie dał sobie drugi raz tego powtórzyć, i poszli.

Przeszedłszy długą ulicę między ogrodami, dostali się na pole, przez które po kilku minutach doszli do samotnej willi nad brzegiem morza. Był to dom podłużny jednopiętrowy z tarasem, z którego był widok na morze.

Gdy Ryszard przywitał się z panem Antonim, obadwaj byli mocno wzruszeni i długo ściskali się za ręce, wy-

gradzając w ten sposób brak słów, które że tak powiemy, z ust wyjść nie mogły. Pan Antoni był blady i bardzo się zestarzał.

— Od kilku dni już wiedziałem, że pan tu jesteś, odezwał się w końcu malarz.

— I czemuś pan nie przyszedł do mnie, lub nie napisał słów kilka?

— Czemu? Bo nie wiedziałbym gdzie pana szukać. Wiesz teraz życie tak różne od dawnego! Nie zamierzam jednak robić panu wyrzutów, jestem na wszystko wyrozumiały; tylko nie wiedziałem czy szukać pana przyda się na co... Teraz, gdyś sam przyszedł, wierzaj mi pan, że cię z największą przyjemnością oglądam. Ile to czasu upłynęło od naszego widzenia się! Jak szybko dni przemijają! Jak wszystko się zmienia!

— Ach tak! westchnął Ryszard. Ale teraz opowiedz mi pan wszystko, gdzieście państwo przez ten czas byli, jak się ma pańska bratowa i... i pauna Konstancya?

— Mój drogi panie Salerio, nie wesołe powiem ci rzeczy; bratowa moja wprawdzie jest Bogu dzięki teraz zdrowszą, ale właśnie kiedyśmy się z tego cieszyli, stan zdrowia Konstancyi mocno nas zasmucił. Och, podobno starość moja będzie bardzo smutna! Teraz widzę wszystko w posępnych barwach.

— Jakże się jednak teraz miewa?

— Konstancya? Może trochę lepiej, przynajmniej tak się zdaje; ale była bardzo chorą, i choroba jeszcze pozostaje; są to cierpienia fizyczne, jak się obawiam, połączone... z mocnem cierpieniem moralnem.

Ryszard smutnie spuścił głowę. Żal niewysłowiony szarpał mu serce. Prosił pana Antoniego żeby mu rozpowiedział wszystko od czasu jak się nie widzieli, i malarz

zadość tej prośbie uczynił, mówiąc zwolna, niekiedy mocno wzruszony.

Po odjeździe Ryszarda do Mantino, owego wieczora, gdy widzieli się po raz ostatni, Konstancya w skutku owego smutnego pożegnania w bramie ogrodu, zwyciężona wzruszeniem i wysiłkiem nadludzkim nieodwołalnego postanowienia, a może też i przeziębwszy się stojąc długo w śniegu z oczyma wpatrzonemi w drogę z której już nie miał powrócić, położyła się chora do łóżka i przez kilka dni nie wstawała. Potem zwolna przychodziła do zdrowia, i to opóźniło wyjazd do Pizy. Zgnębiona boleścią nic prawie nie mówiła, a to głębokie znękanie, konieczne następstwo wielkiego moralnego wysilenia, zasmucało stryja i matkę bardziej niż gdyby najrzewniej płakała. Zdało się że ją wszelka opuściła nadzieja.

W Pizie wszystko to się zmieniło. Jakby jakim cudem Konstancya odzyskała całą siłę moralną. Była wprawdzie bladą, ale się uśmiechała; mówiła mało, ale była spokojną i ciągle siedziała przy chorej matce. Widocznie ta potrzeba pielęgnowania matki i czuwania po nocach przy jej wezgłowiu, zwyciężyła niemą boleść Konstancyi. I wtedy w smutnych jej spojrzeniach jaśniała świętość spełnianych powinności. Twarz jej schudła, serce było śmiertelnie zranione, ale dusza zawsze najczystsza i najwznioślejsza. W niespokojności o matkę zapominała trochę o własnych boleściach. Matka wyzdrowiała, i wtedy Konstancya, jakby także zdrowa i silna, stała się pogodniejszą. I bardziej jeszcze niż dawniej poświęciła się na usługi rodziny, była anielską dla matki, prawie macierzyńską dla Michaśia a coraz serdeczniejszą dla starego stryja. Walczyła i zwyciężyła owo pierwszych dni znękanie moralne. Nieustannie prosiła Boga o trochę spokoju duszy, i gorące jej

modły były wysłuchane. Wróciła uawet do dawnych zajęć, znacznie wydoskonalila się w rysunku, głównie jednak zajmowała się ulubioną muzyką. Namiętne jej zamiłowanie w tej sztuce, pocieszycielce większej niż wszystkie inne sztuki piękne, wzrosło tak dalece, że nieraz po całych dniach grała na fortepianie. A grała z takim czuciem, z takim przejęciem się myślą kompozytora, z taką dokładnością i wyrazistością, jaką dać może jedynie wysoko rozwinięty zmysł artystyczny w połączeniu z wielką potęgą uczuć i z doznaniem srogich cierpień miłości głębokiej i namiętnej.

W spokoju tym Konstancyi było jednak coś sztucznego; nie mógł on być długim i nie był. Stryj pierwszy to spostrzegł. Zrozumiał on, że było coś pozornego, zewnętrznego tylko w tej spokojności jej umysłu, i że to życie czynne, ta działalność gorączkowa, ta słodycz głosu i ten uśmiech anielski nie były symptomatami tak dobreimi, jakby się mogły wydawać spostrzegaczom niegłębokim. Prócz tego zdrowie jej z dniem każdym się pogorszało; na jej białych jagodach ukazały się dwie czerwone plamki, powieki się rozszerzały, piękne oczy stawały się większemi. Lekki kaszel który u innych osób byłby bez znaczenia, u niej słusznie mógł niepokoić, bo ojciec jej umarł z choroby, której lekarze nie umieli nazwać, ani tymbardziej uleczyć, ale która była bardzo podobna do suchot.

Pani Gerardi także niebardzo była zdrową i biedny malarz smutnie pozostawał między dwiema chorobami. Przedłużyło to ich pobyt w Pizie. A i dla pani Gerardi i dla Konstancyi lekarze doradzali klimat jeszcze cieplejszy. Szczęściem, w owym czasie ofiarowano panu Antoniemu korzystną posadę profesora w prowincjach południowych. Przyjął ją, pojechali i zabawili tam dość długo.

Malarz miał tam wiele robót bardzo zyskownych i stan ich finansowy wkrótce bardzo się polepszył, co jednak było małym powodem do zadowolenia i nie szczęściem jakich doznawali.

Wkrótce potem pani Gerardi zupełnie wyzdrowiała; ale niestety! nie można było powiedzieć tego o Konstancyi. Biedna niknęła w oczach. Lekarze uspokajali, lecz sami nie byli spokojni; przepisywali przeróżne kuracje, ale żadna z nich ulgi nie przyniosła.

Gdy się skończył termin urzędowania pania Antoniego, wrócili z południowych prowincyi i na czas pewien osiedli w Nizy.

Stryj Konstancyi nie zaślepiał się przywiązaniem, jak jej matka; pojmował że stan chorej był bardzo niebezpiecznym i badał postępy strasznej choroby moralnej, która w połączeniu z chorobą fizyczną mogła ją zabić. Jasno widział, że należała do tych rzadkich charakterów, co żyją jednym uczuciem, jedną namiętnością, lub z tego uczucia i z tej namiętności umierają. I prawie sobie wyrzucał, że w początkach niedość mocno nalegał żeby oddała swą rękę Ryszardowi, pomimo tego co zaszło. Wywiadywał się później o nim i dowiedział się że wrócił do hrabiny, że ją znowu opuścił i że wiódł teraz życie nieporządne i marnotrawne. Uspokoiło to jego sumienie, i przekonało, że wszelkie nowe zbliżenie Ryszarda z Konstancyą było naprawdę i nieodwołalnie niemożliwym. Pojmował, że owo zniekanie moralne w pierwszych czasach po ostatnim pożegnaniu z Ryszardem, było prawdziwym stanem duszy synowicy, gdy późniejsza gorączkowa działalność była tylko wysileniem sztucznym.

Zaledwie przybyli do Nizy, Konstancya tak ciężko zapadła na zdrowiu, że dwukrotnie, w dwóch różnych przesileniach, o mało nie umarła. Potem nastąpiło polepszenie,

jakie zwykle bywa w takich chorobach, ale tylko pozorne. Teraz, gdy malarz rozmawiał z Ryszardem, miała się znacznie lepiej. Był to dzień szczęśliwy.

— I nie mógłbym widzieć panny Konstancyi? spytał Ryszard, gdy malarz skończył opowiadanie.

— Pozwoli pan, że ją wprzód do tego przygotuję. Teraz ona śpi. Wróć pan pod wieczór.

Dzień ten wydał się Ryszardowi najdłuższym w jego życiu. Zdało mu się, że od poprzedniego dnia cały rok upłynął. Był niespokojny, wzruszony, zgoła inny niż wczoraj. Niezmierne, niewysłowione współczucie napełniało mu serce, współczucie podobne do miłości; cała słodka namiętność błogich dni w Mantino rozbudziła się potężna, nieprzeparta. Pod wieczór, stosownie do życzeń pana Antoniego, wrócił do małej willi. Tym razem przyjęła go pani Gerardi, serdecznie ale z mocnem wzruszeniem. Młody człowiek zaraz poznał, że nie była tak smutną jak malarz i że miała złudzenia macierzyńskie.

— Dziś Konstancya ma się znacznie lepiej, rzekła. Biedne dziecko było mocno wzruszone wiadomością, że pan tu jesteś i że wkrótce pana zobaczy. Pan Antoni dobrze zrobił że ją wprzód do tego przygotował. Teraz czeka na pana, chodźmy.

I otworzyła drzwi. Ryszard ujrzał pokój prawie ciemny; trochę tylko światła przedzierało się przez ciemne firanki okien. Potem rozróżnił postać jaśniejszą, siedzącą. Ta postać wstała; była to Konstancya. Błada, z włosami rozpuszczonemi, owinięta w obszerne ranne ubranie, zdawała się być eteryczniejszą od dawnej Konstancyi. Było jakby jej obraz tylko, ale piękniejszy. Wyciągnęła ku niemu ręce jak dawniej i wyszeptwała: pan Ryszard.

Głos był jeszcze ten sam jak dawniej. Ten głos, bardziej jeszcze niż jej widok, dziwnie go wstrząsnął. I zadrżało mu serce i nagle uczuł w niem jakby nową, nieznaną jeszcze miłość.

Kiedy ujmował ręce do niego wyciągnięte, ona opadła na poduszki krzesła z którego się była podniosła. On chciał coś przemówić, ale zamiast słów dobyły się łkania, padł do jej kolan, ukrył twarz w fałdach jej sukni i zapłakał jak dziecko.

ROZDZIAŁ XI.

W kilka dni później zauważono znaczne polepszenie w zdrowiu Konstancyi. Ujrzawszy znów Ryszarda po walce tak strasznej i po tak bolesnem zwycięztwie, po tylu cierpieniach, gdy już straciła nadzieję ujrzenia go jeszcze kiedy, czuła mimowolnie, że się odradza do nowego życia. Ona ani na chwilę nie przestała go kochać. Pomimo wysień swoich, pomimo pozornej spokojności i sztucznej siły moralnej, czuła się tak opuszczoną, gdy się go zrzekła, tak umierającą, że teraz nie mogła się już opierać, i zapomniawszy o wszystkich cierpieniach, śliczną znużoną głowę wspierała na jego piersi, i łzy swoje mieszała z jego łzami, i słaba a zakochana jak dawniej, wyznawała mu całą swoją miłość.

Czuła że wraca do życia, ale się jej zdawało, że wszystko dzieje się we śnie, i że w sennych widzeniach spotyka się znów z ukochanym. Zawsze wyobrażała sobie, że albo go już wcale nie zobaczy, lub też powita go kiedyś jak

starego przyjaciela, gdy ze zmarłej miłości pozostanie tylko owa cząstka eteryczna nie mogąca umierać, i gdy już bez wielkiego wzruszenia, serdecznie a spokojnie będzie mogła uścisnąć jego rękę. Tymczasem choroba, długie cierpienie moralne, niezabliźniona rana serca i niezagasyły płomień sprawiły, że już teraz niezdolną była do walki i że rana się otworzyła i płomień buchnął gorętszy niż kiedykolwiek. I czuła ze smutkiem, że jest słabą, ale zarazem czuła z zadowoleniem, że teraz jest jego, ach tak, jego na zawsze!

On zaś czuł, że z przepaści apatyi sceptycznej w której się był pogрузił, niespodzianie przerzucony został w przepaść boleści. Z owego snu w który bezmyślnie zapadł nad brzegiem morza, nagle się zbudził wśród najśrodszej niedoli. Odzyskiwał jedyną kobietę którą zdawał się kochać prawdziwie, a odzyskując spostrzegał, że ją rzeczywiście kocha, i że niestety musi ją utracić. Nie mógł podzielać nadziei pani Gerardi, i przeciwnie lękał się z panem Antonim. Wiedział aż nadto dobrze, że owe choroby dziedziczne, zwłaszcza połączone z wielkiem zgnębieniem moralnem, prawie zawsze są nieubłaganymi.

I w ciągu jednego dnia życie jego zupełnie się zmieniło. Jego przyjaciele już go nie ujrzeli. Porzucił dawne nawyki, nie pokazywał się już na tarasie w Monako. Odesłał Binettemu część otrzymanych pieniędzy, bo już ich nie potrzebował. Wierny Baptysta nie rzekł ani słowa, ale zrozumiał wszystko. Ryszard przepędzał cały czas u Konstancyi, siedząc u jej nóg i ściskając jej ręce. Pocieszał ją, dodawał otuchy, zachęcał do nadziei, mówił o swojej miłości, opłakiwał przeszłość i surowo się oskarżał. I doszło do tego, że zaczął mówić jej o zamiarach na przyszłość, a ona uśmiechała się z niedowierzaniem, ale się już

nie opierała. Czasami czytał na głos książkę jaką; ona słuchała z przymkniętymi oczyma, głową wsparta na poduszkach, raz smutna, to znów uśmiechnięta, i ścisnęła jego rękę, i kiedy niekiedy szeptała:—Nigdybym nie uwierzyła, że mogę jeszcze być tak szczęśliwą! — A czasami znów wstawiała z krzesła, i wsparta na ramieniu Ryszarda, przechadzała się z nim na tarasie, podziwiając wspaniały widok cichego lub wzburzonego morza, i mówiąc ze słodkim uśmiechem, że teraz czuje się nierównie zdrowszą.

Nigdy jeszcze tak się nie kochali. A Ryszard z dniem każdym lepiej poznawał, że teraz rozpoczynało się dla niego nowe zupełnie życie.

— Ryszardzie, — mówiła — patrzaj na te przestrzenie niezmiernie morza, na to niebo nad niem i na tę linię widnokregu ciągnącą się w nieskończoność. Miłość jaką ku tobie czuję jest większą od wszystkich tych bezmiarów. Teraz nie mogę już o tem milczeć, nie mogę tłumić w sobie uczuć. Bo i na cóżby się to zdało? Nie mogę już być przeszkodą w twem życiu, a ty już nie możesz sprawiać bólesci w mojem. Czuję się prawie zupełnie zdrową, zdaje mi się jakbym zmartwychwstała, ale to nie na długo. Jak atoli szczęśliwemi są te moje dni ostatnie! Nie oczekiwałam tyle szczęścia. I gorące składam dzięki Bogu za to że cię do mnie sprowadził! O, Ryszardzie, jak ja cię kocham! Powiedz, czy wiesz ilem cierpiała?... Po co jednak teraz mówić o tem? Nie miej zgryzot sumienia; nie mogłeś postąpić inaczej i musiało się tak stać. Nie lituj się nad moją dołą. Odzyskałam cię, i to mi wystarcza. Byłoby okropnem, gdybym musiała opuszczać ten świat, nie widząc już ciebie, bez uściśnienia twej ręki, bez twego pocałunku! Teraz jestem zadowoloną.

On odpowiadał tylko urywanemi słowy i mocniej przyciskał ją do piersi.

Niekiedy jeszcze mówiła:—Co jednak robiłeś przez czas tak długi? Po co przybyłeś do Nizy? Czy usłuchałeś rad które ci niegdyś dałam? Ach, podobno nie. Ale teraz, nie prawdaż, będziesz lepszym? Masz przed sobą jeszcze długie życie; chcę żeby ono było pożytecznem i znacnem, modłę się o to i duch mój zawsze towarzyszyć ci będzie. Wszak nie zapomnisz o mnie, o mojej miłości i o wszystkim com ci zalecała? Czy zrobisz to dla mnie?

On przyrzekał wszystko, i w duszy czuł się dziwnie szczerem.

Nie mógł nie czuć, że srogi cios w niego ugodził; ale z drugiej strony duszę jego zapełniała słodycz niewymowna, dotychczas nie znana. Nigdyby nie oczekiwał takiej niedoli. Los zesał mu karę najsroższą, wyrafinowaną: pozwalał mu widzieć znów Konstancję, budził w ich sercach miłość wzajemną potężniejszą niż kiedykolwiek, a po to tylko, żeby ich nagle rozłączyć na zawsze. A jednak w niezmiernym smutku tej niedoli czuł przynajmniej że serce mu bije, że głowa myśli i że dusza cierpi. Zrozumiał, że na zawsze wyrwany został z przepaści, w której niedawno jeszcze dobrowolnie się zagłębiał. Czuł boleść wielką, niezmierną, ale szlachetną, jedną z tych boleści, co choćby najmężniej znoszone, pozostawiają ślady na całe życie; i chociaż tak wielkie padło nań nieszczęście, nie czuł się już upodłym, odzyskał odwagę, zbudziły się w nim wszystkie szlachetne popędy serca, i nie był już tak nieszczęśliwym, jak owego wieczora, gdy leżąc nad brzegiem morza, myślał o czczości życia jednostajnego wśród uciech poziomych, bez celu i bez pożytku. Teraz

mógł płakać, mógł pocieszać Konstancję, mógł przemyśliwać nad sposobami ocalenia jej, lub przynajmniej gdyby nie mógł jej ocalić, żyć jeszcze dla niej, i z myślą o niej żyć zacnie; dla społeczeństwa pożytecznie, żyć według jej rad i zaleceń, czynić dobrze w jej imieniu, i zawsze świętą jej pamięć uwielbiać. Nadewszystko zaś czuł, że teraz kochał, że serce jego i umysł nie były bezwładne i uśpione; i chwilami wpadał w rozpacz szaloną na myśl o utracie ukochanej, częściej jednak z pogodną rezygnacją przyjmował swą dolę, niekiedy nawet miał jeszcze nadzieję, — ale zawsze przynajmniej żył prawdziwie.

Polepszenie zdrowia Konstancyi krótko trwało. Nie cierpiała już wcale, ale siły jej niknęły. Bładość jej twarzy stawała się przezroczystą, głos był mniej wyraźnym; z trudnością mogła się podnieść z krzesła, na którem w pół leżąc przy oknie, oddychała powietrzem morskiem i patrzyła na błękity wód i nieba. A jak była wtedy piękną, pogodną i spokojną! Jaką miłością tchnęło każde jej spojrzenie, ile było anielskiej rezygnacyi i słodyczy w jej uśmiechu! I roztaczała dokoła siebie taką atmosferę niebiańskiego spokoju, że sam jej widok wywierał wpływ pocieszający na strapione osoby co ją otaczały, i była jakby balsamem na smutek głęboki jaki jej choroba sprawiała! Ryszard nie pojmował już stanu swej duszy: był dziwnie spokojny, a w tym spokoju było coś więcej niż rezygnacya. Nie miał złudzeń, nie miał już nadziei; często rozmawiał z lekarzami, i poznał prawdę nieubłaganą. Ale w terażniejszym jego smutku była pogoda tak słodka, że nie mógł się z niej wyrwać i myśleć o przyszłości. Czasami tylko czuł ból dojmujący, gdy ziemską budziła się w nim namiętność.

Pani Gerardi, strwożona ale jeszcze pełna zwodniczej nadziei, po całych dniach siedziała przy córce; nocami czuwali przy niej kolejno malarz i Michaś, który biedaczek! płakał jeszcze jak dziecko. Ryszard prosił, żeby i jemu pozwolono czuwać przy chorej. Kiedy siedział przy niej, była spokojniejszą i zdawała się spać lepiej. Stan jej jednak pogorszał się z szybkością przerażającą. Jednej nocy było trzecie przesilenie, ale i ono jeszcze szczęśliwie przeszło. Nazajutrz chora sama zażądała księdza i pogodnie przyjęła ostatnie sakramenta. I ku zdumieniu wszystkich uczuła się zdrowszą, znacznie zdrowszą. Na drugi dzień chciała już wstać i lekarze się nie sprzeciwili. I powróciła na dawne miejsce przy oknie, i jak zwykle wpatrywała się długo w morze, jedyny widok który się nigdy nie sprzykrzy. Często jednak zwracała spojrzenie na Ryszarda, który teraz prawie jej nie odstępował, a wtedy spojrzenia jej miały niewysłowiony wyraz miłości i słodyczy niebiańskiej.

To nowe polepszenie po przesileniu które wszystkich przeraziło, czas pewien jeszcze trwało; nietrudno jednak było zrozumieć, że to była ulga chwilowa, polepszenie pozorne. Było to polepszenie przed śmiercią. Lekarze nie utaili tego przed Ryszardem. Pan Antoni także o tem wiedział, i tylko matka nic nie rozumiała i pozostawiono ją w złudzeniu.

Zdawało się jednak, że z osłabieniem ciała, dusza nabierała większej siły w kochaniu. Rzecz dziwna! Konstancya nie łudziła się wcale pod względem swego stanu zdrowia, lubo złudzenia są tak pospolitemi w chorobach piersiowych. Głos wewnętrzny mówił jej, że nie może wyzdrowieć. Przez chwilę tylko miała nadzieję, gdy zoba-

czyła znów Ryszarda; ale jeśli jej ta radość nie ocaliła, cóżby jeszcze ocalić ją mogło?

.....

Był wieczór i kochankowie zostali sami w pokoju. On siedziała na zwykłym miejscu przy oknie; on klęcząc przy niej podtrzymywał jej głowę. Powietrze było ciepłe, miłe, pełne wiosennej woni zmieszanej z ostrym zapachem morskim, którym chora oddychała z rozkoszą. Willa była dość oddaloną od ludnych dzielnic miasta, i nikt tędy nie przechodził; milczenie było zupełne. Słyszałaś tylko jednostajny szum fali uderzającej o brzegi, ową dziką harmonię tak miłą dla tych których do snu kołysze. Niebo było tak ciemno niebieskie, że w niektórych częściach zdawało się być czarnem; błyszczało gwiazd miliony, noc była pogodną ale ciemną, zarysy brzegów morskich kreśliły się w liniach fantastycznych.

Na tarasie przed willą stały doniczki z kwiatami rozlewającymi woń delikatną. Ona je tak lubiła!... Wszystko dokoła niej było piękne w tej scenie wspaniałej i spokojnej. Ręka jej ścisnęła dłoń Ryszarda; rozmawiali z sobą po cichu.

— Czy mi to przyrzekasz? pytała.

— Przyrzekam.

— Skoro mówisz, że mię kochasz, a teraz mogę ci wierzyć i wierzę, — więc daj mi ten dowód. Gdy będę wiedziała żeś lepszy, żeś pożyteczny krajowi, to chociaż świat ten opuszczę, jeszcze czuć będę żeś o mnie nie zapomniał.

— Wszystko ci przyrzekam. Od czasu jak cię znów ujrzałem, czuję się tak zmienionym, że choćbym chciał, nie mógłbym powrócić do dawnego sposobu życia. Dla czego

jednak tracisz nadzieję? Czemu nie wierzysz że możesz się wyleczyć? Wszak sama mówiłaś, że ci jest lepiej?

Dziewica smutnie potrząsa głową.

— Tak, jest mi lepiej, nierównie teraz lepiej, ale się nie łudzę: doprawdy, wszystko się już skończyło. Smutna to myśl opuszczać ciebie; ale życie z tobą byłoby snem, i nie zdawałoby mi się możliwem. Pozwól mi więc umrzeć. Zobaczyłam cię znowu, i teraz umrę szczęśliwa. Pomyśl żem się tego nie spodziewała! Och, gdybyś wiedział jak mi smutno było w tem długim rozłączeniu! Jak płakałam i cierpiałam! Jaką rozpacz czułam na myśl, żeś naprawdę o mnie zapomniał, żem nic nie wiedziała co się z tobą stało i że nigdy cię już nie obaczę! Gdy się zastanawiam nad tą straszną myślą teraz, gdy jesteś przy mnie, gdy cię widzę, gdy czuję dłoń twoją w mojej ręce, serce napełnia mi się taką błogością, że zdaje mi się, iż dostałam wszystko com mogła otrzymać na tej ziemi, i nie żądam więcej, i dzięki składam Opatrzności! O pozwól mi odejść w spokoju! Zbyt wiele walczyłam, potrzebuję spoczynku. A zresztą, czy tu czy gdzieindziej, wszędy i zawsze kochać cię będę.

— Nie, nie, nie mów tak. Ocalimy cię jeszcze! O, cios byłby zbyt srogim!

Nastąpiła chwila milczenia. Potem młody człowiek dodał:—Czy pamiętasz piękne dni w Mantino? Owe pierwsze nasze spotkanie? i... i owo pożegnanie ostatnie? Och, Boże, czemuż byłem tak szalony, tak nierozważny! Sam biegłem do przepaści, sam odepchnąłem szczęście dla mnie zgotowane.

— Kto to wie? Kto wie, czy pobrawszy się, bylibyśmy szczęśliwi? Tego nie wiemy. Ty może nie kochałbyś mię długo, możebyś szukał rozrywki w innej namiętności.

Wiesz, zem zawsze wątpiła. Teraz przeciwnie już nie wątpię. Teraz czuję że mię kochasz, i że nie przestaniesz mię kochać, gdy już tu nie będę. I ja także nie przestanę ciebie kochać, i wkrótce się znów połączymy.

I mówiąc to spojrzała na wspaniały strop niebios błyszczący gwiazdami.

On milczał przez chwilę, zadumał się, bardziej jeszcze spoważniał, i całując ją zapytał:

— I wierzysz w to?

— Jestem tego pewną. Gdy się kocha tak jak ja ciebie kochałam, jak się Kochamy teraz, to nie rozstaje się na zawsze, to spotyka się znowu. Spójrz na to utwierdzenie niebieskie, majestatyczne a miłe, na którego już sam widok duch się nasz wznosi w nieskończoność. Czy nie czujesz, że tam jest nagroda za wszystkie niedole, że tam jest uzupełnienie wszystkich miłości? Co tu ułomne, tam jest doskonałe; tam szczęście prawdziwe, tam urzeczywistnienie marzeń najpiękniejszych. Czy słyszysz? Te gwiazdy mi to mówią. O, Niebo nie kłamie. O tak, tak, jestem tego pewną!

Głos jej był teraz tak cichy, że zdawał się być echem dalekiego z innych światów głosu; ale błyskawice w jej oczach świadczyły o głębokim i pogodnym przekonaniu ducha. Mówiła jeszcze długo. On słuchał jej wstrzymując oddech. Prosił żeby się nie męczyła mówieniem, żeby odpočzęła; ona jednak nie chciała. Mówiła zwolna, ale ciągle, jakgdyby się lękała, że zbraknie jej czasu do wypowiedzenia wszystkiego. I wistocie nie miałyby dość czasu dla wyrażenia wszystkiego co w duszy swej dla niego czuła. Wiele jeszcze mówiła o swej matce, o przymiotach tej niewiasty dobrej i Kochającej, i o panu Antonim, drugim jakby swoim ojcu, który będzie wkrótce tak

osamotnionym, i o Michasiu któremu dobrą przyszłość wróżyła.

Wszyscy tej nocy obiecali spoczywać spokojnie, a Ryszard podjął się czuwania. Zwykle wszyscy byli przy niej, dopóki nie uczuła znużenia; wtedy Ryszard oddalał się, i przywoływano służącą, która pomagała Konstancyi położyć się do łóżka. Potem Ryszard czuwał w drugim pokoju, lub najczęściej na tarasie, bacząc na najmniejszy szelest, by zaraz przybieść do pokoju chorej. I nie było obawy żeby zasnął. Kiedy samotny przepędzał te noce tak różne od dawniejszych, gdy patrzył na wspaniałą przyrodę, gdy podsłuchiwał prawie oddech dziewicy ubóstwiającej, tysiące myśli dotychczas nieznanych budziło się w jego duszy.

Tego wieczora jednak Konstancya nie chciała się położyć do łóżka.

— Zostaw mię tu, powtarzała z miłym uporem chorych; chcę tu pozostać. Tu mi dobrze. Możesz bez obawy zadowolnić ten mój kaprys. Zdaje mi się, że nie mogłabym już oderwać mojej ręki od twojej. Nic mi nie zaszkodzi że tu pozostanę. Powietrze jest tak ciepłe i łagodne! Spojrzyj, jak morze jest spokojne, jak niebo pogodne i wspaniałe! Pozwól mi patrzeć na ten obraz, którego z tej ziemi zapewne już wkrótce nie zobaczę więcej. I pozostań przy mnie, blisko, żebym cię mogła czuć przy mym boku. Jeżeli sen cię zmorzy, śpij. Ja będę czuwała przy tobie.

Ryszard zgodził się na to, nie poruszył się, ale już nie mógł mówić. Ona powiedziała jeszcze słów kilka, znużenie jednak wkrótce ją przemogło, i zamiast czuwać przy nim, sama zasnęła. On patrzył na nią. Cała jej postać tchnęła spoczynkiem. Głowa zwiesiła się w tył, nieco w jedną stronę przechylona, twarz była blada i pogodna,

włosy rozpuszczone spływały w bujnych zwojach na poduszkę. Ręce były wyciągnięte, śnieżnej białości, prawie przezroczyste. Niewysłowiony uśmiech ukazywał się często na ustach na wpół otwartych. Długie rzęsy oczu zamkniętych wyraźnie się rysowały na bladych licach. Zdawała się nie być istotą ludzką; gdyby oddech nierówny nie poruszał jej łona, uwierzyłbyś że to posąg; gdyby nie ślady cierpień wyryte na twarzy, pomyślałbyś, że to anioł uśpiony. Ryszard patrzył na tę cudną postać, i niekiedy całował jej rączki przezroczyste i wychudłe, i z pocałunkami łyzy mieszał. Patrzył na nią i powstrzymywał oddech, i prawie zamierało mu serce, bo sen ten był tak cichy i spokojny, że podobnym był do nieprzespanego snu śmierci, i zdawało mu się że ona już nie żyje. Potem zdjęła go boleść nieopisana, zdawało mu się że dłoń żelazna gniecie mu piersi, i zapłakał. I długo, długo płakał po cichu gorącemi łzami, i płacz ten ulgę mu sprawiał.

Godziny upływały. Biedny, wyplakał wszystkie łyzy i pograżył się w rozmyślaniach smutnych i słodkich zarazem; ona wciąż spała, a on, rzecz dziwna, czuł się wzmożonym na duchu. Przypominał sobie owe słowa wiary i nadziei, które ona wyrzekła, i spoglądając na modre niebo i na jej twarz niebiańską, żył tą samą jak ona nadzieją i tą samą wiarą. Nie! Nie potrzebował płakać, nie potrzebował rozpaczać w obec tej czystej istoty, która nie umierała, lecz ulatywała w niebiosy.

I w scenie tej nie było nic żałobnego. Nieśmiertelna radość przyrody nie zdawała się wówczas ironią, jak zwykle się wydaje, gdy patrzymy na nią zgębieni nieszczęściem. Ta istota uśpiona niemniej była pogodną jak utwierdzenie niebieskie. On czuł smutek w sercu, ale go dokoła siebie nie widział. Owszem, i on radował się, że

mu danem było zobaczyć ją jeszcze, i otrzymać od niej nie tylko przebaczenie, ale i jej miłość. W obec tej nocy pogodnej i tego wspaniałego zachodu duszy anielskiej, nie godziło się płakać i rozpaczać. Należało błogosławić i modlić się, należało otworzyć serce dla uczuć nadziejskich i dla słodyczy niebiańskiej, żeby ten obraz przewodniczył mu w przyszłości, i żeby ten przykład w śmierci pomagał mu w życiu.

Ach, ale jak ją teraz kochał! Kochał ją miłością niezmierną i nieopisaną. I od razu najjaśniej zrozumiał, że w długiej przyszłości która go prawdopodobnie czekała, może mieć inne przywiązania, inne myśli i troski, że jednak nie mógłby już kochać innej kobiety. Całą miarę miłości, jakiej każdemu z nas na tej ziemi udzielono, on w tej ostatniej godzinie oddał tej kobiecie co spała. Teraz był pewnym że kocha. Tej, której pewnego dnia nie dotrzymał przyrzeczenia, teraz oddawał na zawsze całe serce i całą duszę. I dla tego teraz wierzył jak ona i czuł, że się spotka z nią jeszcze.

I była chwila gdy czuł się szczęśliwym. szczęśliwością najwyższą, nadludzką. — Ale, wreszcie i ta noc miała się skończyć. Godziny ulatywały. Na zwierciadle morza nie błyszczały już promienie księżyca; gwiazda nocy bladła. Błękity nieba rozrzedzały się. Tu i owdzie dostrzegałeś już linię widnokręgu; błądy przedświt już bielał na skraju niebios. Powietrze mniej było ciepłe. Niekiedy dolatywał z dali jakiś szelest niewyraźny. Gdzie niegdzie na morzu widać było pianę bałwanów; gdzieś daleko ukazywały się jakby żagle. Ptaki morskie, niby czarne punkciki, pruły skrzydłami powietrze. Lekka mgła, niby zasłona niewidzialna, zwieszała się nad przedmiotami. Były w niej światła brzasku niepewne jak w zmierzchu wieczor-

nym; ale ten brzask miał właściwą sobie barwę nie pozwalającą mu blednąć; było to już prawdziwe światło zwiastujące świtanie poranku.

Ona, zwolna otworzyła oczy. Zbudziła się spokojnie jakby ze snu rzeźwiącego. Obejrzała się dokoła i spostrzegła ową zmianę sceny.

— I od długo już tak śpię? spytała.

Potem chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nagle musiała umilknąć. Ryszard spojrział na nią i był przerażony. Uczuł jakby zimny miecz zanurzony w sercu. Bładość jej powiększała się; oczy jej pozostały nieruchomie otwarte. Nie podobna już było ludzi się co do wyrazu tej twarzy.

Ostatnie chwile nadeszły, i niewiele już nam do opowiedzenia o nich zostaje. Przytuliła się do niego i wsparła głowę na jego piersi. Mówiła jeszcze, ale z trudnością, głosem urywanym. Czasami drgnęła, ale nie miała cierpień.

Ryszard podniósł się, i zdawało mu się, że nie może ustać na nogach. Zrozumiał położenie i chciał przywołać matkę i stryja.

— Nie, nie, wyszeptwała jakby z trwogą, nie opuszczaj mnie, nie oddalaj się, zostań tu. Nie wołaj ich; na co? Jaby nie miała siły ich widzieć. A przytem wiesz, że nie mogę puścić twojej ręki. Módlmy się.

Ryszard dotknął ustami jej czoła i wyrzekł kilka słów urywanych. Ona dodała z uśmiechem niewysłowionym:

— O, jak jestem szczęśliwą! Tyś przy mnie! Jak kocham ciebie, jak się wzajem kochamy! Nieprawdaż? Powiedz, wszak...

Nie mogła już więcej mówić. Zrobiła ostatnie wysilenie i zarzuciła ręce na jego szyję.

— Boże mój! zawołał Ryszard. Konstancyo!

Ręce jej opadły bezwładne. Lekkie drgnienie konwulsyjne przemknęło po jej twarzy, wyszeptała: — Do widzenia, bywaj zdrów!—i padła na poduszki.

Ryszard, znicestwiony, patrzył na nią. Jak niedawno jeszcze, kiedy spała, zdawało się że już ją życie opuściło, tak w tej pierwszej chwili śmierci zdawało się że śpi. Głowa jej leżała w tem samym miejscu, z włosami rozpuszczonymi, ręce zwieszzone, oczy zamknięte, ten sam uśmiech na twarzy.

Niebo białało. W jednym punkcie widnokręgu ukazywały się różane blaski jutrzeńki. Ryszard patrzył na to widowisko, dziwnie spokojny. Nie chciał się oddalić, nie mógł ztąd odejść. Wietrzyk poranny przynosił świeże wonne powietrze. On stał wciąż nieruchomy obok tej śpiącej postaci. I kiedy dusza jej opuszczała ziemię wracając tam z kąd przyszła, równie jak ona czyste i pogodne światło rozjaśniało niebo i morze. Słońce wschodziło.

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.



nyāta

sernis

tortornice

lonei hi

Jan dā hi

wi dha wīad hi

paicraehy

keeh

ganer eh

ahma' anta

rest only

04.17

Biblioteka Uniwersytetu
MARIi CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 9922

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki